NOWOŚCI ILLUSTROWANE

Prenumerata w Polsce: Kwartalnie 988·— Marek, Półrocznie 1976·— Mk. Rocznie 3952·— Mk. Ameryka: 8 dolarów rocznie. Numer pojedynczy 15 centimów.

Zmiana adresu 1 Markę.

Ceny ogłoszeń: za wiersz petitowy jednoszpaltowy na ostatniej stronie 20 Mp., na miejscu specyalnie zastrzeżonem Mp. 30·—, za wiersz petit. w części redakcyjn. 50 Mp. – Zamiejscowe o 50 %, zagraniczne o 100 % drożej.

Wychodzi każdej soboty.

REDAKCYA i ADMINISTRACYA: KRAKÓW XV. ulica Kazimierza Wielkiego L. 95 (dom własny).

Telefon Nr. 473.

Naczelny i odpowiedzialny redaktor: Julian Bartoszewicz

W Warszawie do nabycia wszędzie. „Promień", Łódz, Piotrkowska 81.

Należytość pocztowa opłacona ryczałtem. Numer pojedynczy 80 Marek.

Rok XIX. Kraków, 21 stycznia 1922. Nr. 3.

Zuchwały napad bandycki na plebanię



Bandyta pod grozą rewolweru stara się na proboszczu w Palczawicach, ks. Janasie, wymusić wydanie pieniędzy.



Po wyborach wileńskich: Informowanie wyborców w lokalu Jeneralnego Komisaryatu Wyborczego
Aj fot. Maryan Fuks Warszawa.

Zuchwały napad bandycki na plebanię.

(Do illustracyi tytułowej).

Kilkakrotnie wspominaliśmy na łamach naszego pisma, i to już w ostatnich czasach, że stosunki bezpieczeństwa pogarszają się u nas w zastraszający sposób z dnia na dzień. Czy organizacya policyi państwowej, pełniącej służbę bezpieczeństwa na sposób podobno angielski, jest w założeniu swem fałszywą, czy też siły jej są niedostateczne, w to nie wchodząc, stwierdzamy jedynie fakt, że napady bandyckie na spokojne osiedla nie tylko nie ustają, owszem mnożą się, stają się coraz zuchwalsze, a sprawcy po największej części uchodzą rąk karzącej sprawiedliwości.

Oto znowu w dniu 10 grudnia około godziny 7-ej wieczorem w Palczowicach obok Spytkowic w pow. oświęcimskim napadło na plebanię trzech bandytów, uzbrojonych w rewolwery. Bandyci sterroryzowali najpierw służbę w kuchni, następnie jeden z bandytów stanął na czatach przed domem, drugi zaś w kuchni, aby służba nie wydaliła się. Trzeci bandyta wpadł do pokoju księdza, a zastawszy go modlącego się, przyłożył mu rewolwer do skroni i zażądał wydania pieniędzy.

Po krótkiej wymianie zdań między plebanem a bandytą padły cztery strzały w stronę księdza, z których dwa trafiły go w brzuch, dalsze zaś raniły go w nogi. Rana zadana w brzuch była śmiertelną. Podczas strzelaniny jedna ze służących wybiegła na pole i poczęła wołać ratunku. Bandyta, stojący na straży przed plebanią, słysząc krzyk czeladzi, dał reszcie bandytów znak wystrzałem z rewolweru, aby uciekali. Zaalarmowani bandyci zbiegli niczego nie zrabowawszy. Powiadomiony o niezwykle bezczelnym napadzie bandyckim posterunek policyi państwowej, wdrożył energiczne dochodzenia, celem ujęcia sprawców.

Ofiara napadu, ksiądz proboszcz Janas, człowiek sześćdziesięciodwuletni, cieszył się w swej parafii i całej okolicy zasłużonym szacunkiem, jako wzorowy kapłan i gorliwy pracownik dla dobra ludu, któremu oddał się całem sercem. Wiadomość o napadzie poruszyła też całą okolicę, jeszcze bardziej zaś wieść o śmierci czcigodnego kapłana skutkiem ran odniesionych podczas napadu. Jak się dowiadujemy z ust jednego z tamtejszych obywateli, zbrodniarze muszą pochodzić z najbliższych okolic i znać dobrze miejscowe stosunki, skoro napad urządzili w dzień, w którym ksiądz sprzedał parę koni, przypuszczali zatem, że posiada większą kwotę pieniężną.

Po wyborach wileńskich.

Dzień 8. stycznia b. r., jako dzień wyborów do Sejmu Litwy Srodkowej, mającego rozstrzygnąć ostatecznie o losach tej ziemi, przyniósł nam decydujące zwycięstwo. Lud litewski wypowiedział swą wolę, a da się ona streścić w dwu słowach: „Do Polski!"

Na ogólną liczbę 106. posłów około pięćdziesiąt mandatów zdobyli kandydaci Polskiego Centralnego Komitetu Wyborczego, którzy zobowiązali się słowem honoru do głosowania za połączeniem z Polską, dwie następnie najliczniejsze grupy, to jest



Po wyborach wileńskich: Przed siedzibą Ligi Robotników. Aj. fot Maryan Fuks, Warszawa.

posłowie wybrani z ramienia Rad Ludowych i Polskiego Stronnictwa Ludowego, choć w programie swym otwarcie o połączeniu nie mówią, przecież w agitacyjnych swych broszurach i pismach zupełnie niedwuznacznie za niem się oświadczają. Opozycyjna grupa federalistów liczyć będzie zaledwie kilka głosów.

Wobec takiego stanu rzeczy los Litwy Srodkowej uważać należy za ostatecznie rozstrzygnięty, mocarstwa przymierzone nie zechcą się chyba sprzeciwić woli ludu tak jasno i otwarcie wypowiedzianej. Sejm wileński nie będzie miał charakteru ustawodawczego, ograniczy się jedynie do oświadczenia, w jaki sposób życzy sobie zapewnienia przyszłości swojego kraju i pokierowania jego losami, a następnie rozwiąże. Liga Narodów na ostatniem swem publicznem posiedzeniu wypowiedziała się w sprawie wileńszczyzny w myśl żądań polskich, a wbrew uroszczeniom przedstawicieli Litwy Kowieńskiej, co również uważać należy za jeden krok naprzód do pomyślnego dla nas załatwienia tej piekącej sprawy.

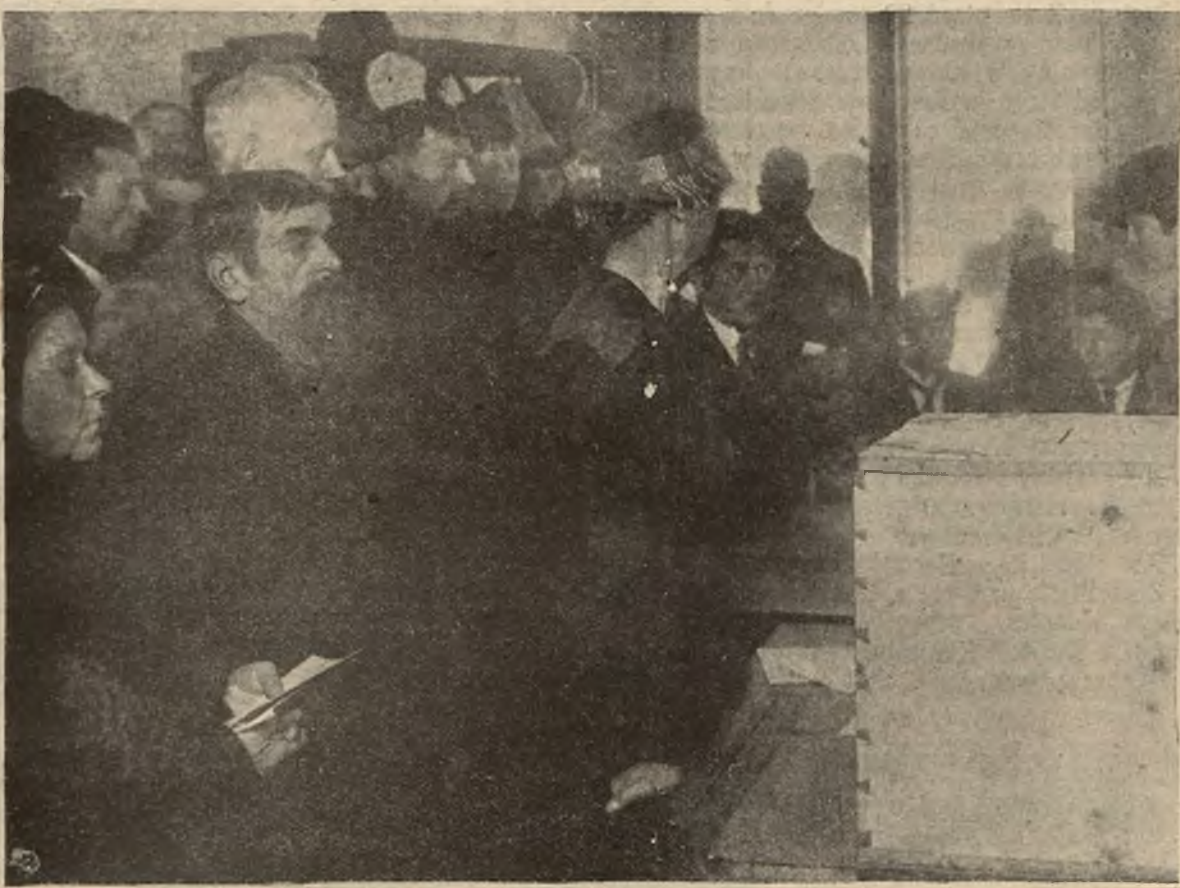
Agitacya przedwyborcza we Wileńszczyźnie była bardzo ożywiona, prowadzono ją zaś głównie w dwu kierunkach, jeden z nich to ścisłe połączenie z Polską, drugi, utworzenie samodzielnego państwa, w skład którego wchodziłaby cała historyczna Litwa, a one dopiero zadecydowałyby o swej przyszłości.

Z pomiędzy odezw i publikacyi, jakie pojawiły się z okazyi wyborów w ogromnej liczbie, na pierwsze miejsce wysuwają się przedewszystkiem dwa



Po wyborach wileńskich: „Ogonek" głosujących przed gmachem magistratu w Wilnie. Aj. fot. Maryan Fuks, Warszawa.

oświadczenia, jedno z nich, to gorące słowa ks. arcybiskupa Hryniewieckiego do swych byłych dyecezyan, od których go onegdyś gwałtem oderwano, drugiem zaś list otwarty do Białorusinów jenerała Stanisława Bułak Bałachowicza, byłego dowódcy armii ochotniczej, walczącej tak skutecznie z bolszewikami. Oba one malują dokładnie uczucia, przejmujące serca każdego z tych, którym los tego kraju leży naprawdę na sercu.



Po wyborach wileńskich: Przy urnie wyborczej. Aj fot. Maryan Fuks, Warszawa

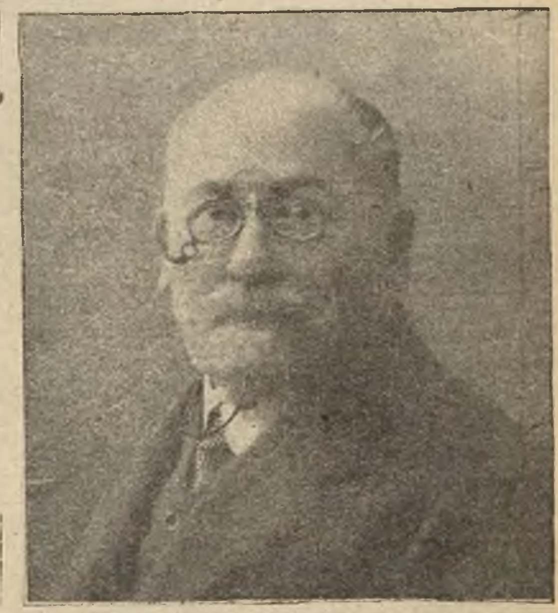
W broszurze, wydanej przez Polski Centralny Komitet Wyborczy pod tytułem: „Arcybiskup Hryniewiecki o wyborach", czytamy między innemi poglądy czcigodnego Arcypasterza na sprawę kraju, który tak serdecznie ukochał i dla którego tyle cierpiał:

„Dzisiejsza Litwa kowieńska wszak to twór Prusaków w celu niedopuszczenia do tego, by powstało na wschodzie wielkie, katolickie państwo — zjednoczona Polska.

„A czemże byłaby ta „wielka", „niezależna" Litwa, która nawet niektórym z nas w głowie zawróciła, jeżeli nie gniazdem wywrotu, rozsadnikiem niewiary i masoneryi, narzędziem w ręku Prusaków, którzy za kulisami dziś za nią agitują i miliony przeznaczają na cel bałamucenia naszego ludu. „Przeto nawołuję i ostrzegam: żadnych federacyi!

„Do Polski" — oto być musi naszem hasłem, bo Polska, to nasza Ojczyzna, Polacy nasi rodacy, jednej z nami wiary, jednej krwi, jednego języka. A chociaż tam w młodej Polsce, jak zwykle na początku, nie wszystko jeszcze tak się dzieje jak powinno, chociaż są braki i niedomagania — to przecie w naszej mocy będzie to wszystko na lepsze zmienić.

„Przyjechałem do was, choć słaby i schorzały, choć podróż zimą niesłychanie uciążliwa. Chcę przetrwać z wami tę przełomową chwilę, chcę słabe siły moje oddać na usługę wielkiej sprawy: wydarcia tego kraju, który tak bliskim jest sercu mojemu, z paszczy masonów i przewrotowców, połączenia go nierozerwalnie z katolicką Polską. Chcę głos mój połączyć z głosem wszystkich wiernych i prawych synów tej ziemi — wiem, że niegdyś głos ten miał posłuch i poszanowanie wśród was,



Z żałobnej kroniki naszego piśmiennictwa: Sp. Zygmunt Sarnecki, zmarły w Krakowie w dniu 10 stycznia b. r.

może i dziś odezwie się echem w sercach byłych moich owieczek.

„Szczęśliwy jestem, iż mimo wszelkich trudności mogłem do was przyjechać, dać dowód miłości dla byłych mych dyecezyan, wypowiedzieć to wszystko, co mi obowiązek pasterski nakazuje.

„Nie skonałbym spokojnie, gdybym tego nie uczynił".

Jenerał Bułak Bałachowicz pisze zaś:

„Dowiedziałem się, że pewna grupa działaczy białoruskich, występujących pod mianem „Nacyonalnego komitetu białoruskiego" w Wilnie (Ostrobramska 9), powzięła uchwałę powstrzymania się od udziału w głosowaniu do Sejmu wileńskiego. Zmuszony jestem zwrócić uwagę społeczeństwa, iż jest to ta sama grupa polityków, która podczas inwazyi bol-



Po wyborach wileńskich: Dziennikarze zagraniczni i krajowi w biurze Jeneralnego Komisarza Wyborczego, p. Zabierzowskiego (X), oczekujący na wiadomości o rezultacie wyborów. Aj. fot. Maryan Fuks, Warszawa.

szewickiej w ubiegłym roku również wystąpiła ze znamienną rezolucyą powstrzymania się od wszelkiej akcyi zbrojnej przeciw sowietom.

Walczyłem ramię przy ramieniu z bratnim ludem polskim i z ufnością w przyszłość wspólnie chcemy odbudowywać nasze spalone chaty.

Dziś zamiast kajdan komuny moskiewskiej mamy



Z żałobnej kroniki naszego piśmiennictwa:
Sp. Stanisław Kozłowski.

na tej cząstce oswobodzonej ziemi spokój, ład, bezpieczeństwo życia i mienia, możność pracy, wolność słowa i swobodę obywatelską.

Tedy uroczyście, łącznie z kilkoma tysiącami ochotników-Białorusinów z tych stron pochodzących, pójdziemy do urn wyborczych i zażądamy, aby ziemia ta została połączona z Rzecząpospolitą Polską".

Powyższe słowa i im podobne, a było ich bardzo wiele, trafiły też do serc ludności, Wileńszczyznę zamieszkującej, a następstwem ich poważny przebieg i wynik wyborów w dniu 8. stycznia.

O nastrojach, jakie w dniu tym pamiętnym panowały w sercu Litwy Srodkowej, we Wilnie, czytamy w jednem z pism codziennych:

„Godzina 10 rano. Jesteśmy w Wilnie.

Miasto ożywione, ale spokojne, raczej świąteczne, aniżeli rozagitowane. Przed lokalami wyborczymi długie ogonki głosujących. Administracya wyborcza, przyznać należy, doskonała. Głosuje się w 38 lokalach, niema więc zbytniego ścisku. Ulice pokryte istnem morzem plakatów, odezw i druków.

Ruch wyborców znaczny. Do godziny 2 głosowało w mieście 25 tys. ludzi. Walka toczy się pod znakiem bezwzględnej przewagi „trójki", t. j. listy Centralnego Komitetu Wyborczego. Uderza znaczny udział kobiet. P. Zabierzowski, jeneralny Komisarz Wyborczy, pozwala głosować tylko tym, którzy zarejestrowali się przed 22 gim grudnia.

Spotykam przygodnego znajomego z pociągu. Stary, jowialny Wilnianin, kresowiec czystej krwi, nie oszczędzający w rozmowie wileńskich idiomów. Odszedł przed chwilą ze srogiem zaklęciem od urny wyborczej. Nie wierzy już w dobry wynik wyborów, bo ani jemu, ani pięciogłowej rodzinie jego, która „przyjechawszy aż od Grudziądza", nie pozwolono głosować. Takich uprawnionych do głosowania, którym nie pozwolono oddać ważnych głosów, doliczono się w samem Wilnie przeszło 2 000. Naprawdę karygodne niedbalstwo władz naszych i za daleko posunięta ścisłość formalna Jeneralnego Komisaryatu. Idę sam do p. Zabierzowskiego i przekonywam się, że nawet wobec gróźb i płaczu rozżalonych rodaków jest nieubłagany.

Mój znajomy z pociągu jest przekonany, że w tej niejasnej sprawie 2.000 głosów polskich tkwi jakaś intryga... Ligi Narodów.

Ale otóż i Liga Narodów.

Znaleźli się panowie z Ligi w Wilnie, jak rozgłośnie twierdzą... przypadkowo. Zjechało trzech panów z Komisyi Kontrolującej, mającej swą siedzibę obecną w Kownie. Jest p. Tsutsui, japoński oficer, p. Lasicz, Serb, sekretarz Kom. i oficer francuski jako adjutant.

Panowie z Ligi Narodów rozmawiają chętnie i uprzejmie, grzecznie o wszystkiem, lecz przemieniają się w milczące głazy, gdy się tylko zacznie mówić o... Wilnie.

Z rozmów z panami z Ligi wynika, że nie mamy w nich bardzo oddanych przyjaciół. Z drugiej strony należy zaprzeczyć kategorycznie pogłoskom o rzekomo wrogiej Polsce agitacyi komisyi kontrolującej. Szczególne poruszenie wywołują oni wśród kół żydowskich, które z obecności ich w Wilnie wysnuwają daleko idące wnioski.

W chwili, gdy piszę w restauracyi Hotelu Georges te słowa, wpada do lokalu kilku studentów, którzy powrócili ze wsi z senzacyjną wiadomością:

— Żydzi głosują!

W rzeczywistości, o ile można było stwierdzić, głosowali żydzi tylko w niektórych okręgach w małej liczbie.

Naogół stosunek żydów do dzisiejszych wyborców określił w sposób deklaracyjny p. Kruk, jeden z działaczy, który oświadczył:

— Zdaniem żydów, Ziemia Wileńska nie może być przyłączona do żadnego państwa narodowego. Całość stanowi dopiero Litwa historyczna, która powinna być państwem narodowościowem z autonomiami narodowemi. Stosunek do państw sąsiednich mogłaby określić tylko konstytuanta na całem terytoryum Litwy historycznej. Tę wysoce dyplomatyczną i arcyuroczystą deklaracyę zakończył p. Kruk obiecującem zdaniem:

— Jest możliwe, że ogólno-litewska konstytuanta nawiązałaby ściślejsze stosunki z Polską, nawet w formie federacyi...

Jako drugą przyczynę wstrzymania się od głosowania, podał p. Kruk starą na pamięć wyuczoną śpiewkę o... niezałatwieniu sprawy żydowskiej.

Jak zachowają się żydzi po dzisiejszym plebiscycie? Na pytanie to odpowiada przedstawiciel żydów, wkraczając już na szerokie tory światowej polityki: „Jeżeli sejm wileński uchwali inkorporacyę i uchwałę tę potwierdzą państwa sprzymierzone albo Liga Narodów, wtedy żydzi staną się lojalnymi i przyjmą udział w pracy państwowo-twórczej.

O nastrojach wsi decydowała znana z politycznych działań t. zw. „ostatnia chwila". Włościanie nie oryentujący się w różnicach partyjnych byli zaskoczeni walką poszczególnych ugrupowań. Słuchali chętnie wszystkich, którzy zapewniali wcielenie do Polski, w końcu zniecierpliwieni agitacyą „Odrodzenia" i Rad ludowych poczęli głośno wyrażać swoje zniecierpliwienie, dziwiąc się, dlaczego „Rząd" pozwala na stawianie więcej niż dwu list, „żeby było wiadomo do Polszczy czy do Litwy".

Zainteresowanie wyborami wzrosło bardzo w ostatniej chwili. Na przeszkodzie stał brak koni, zła sanna, a przedewszystkiem znaczne odległości od miejsc głosowania i silny mróz. Pewna część kobiet do urny nie stanęła ze względu na niemożność opuszczenia zajęć domowych. O pierwszeństwo na wsi walczyły Centralny Komitet Wyborczy i Rady Ludowe".

Z żałobnej kroniki naszego piśmiennictwa.

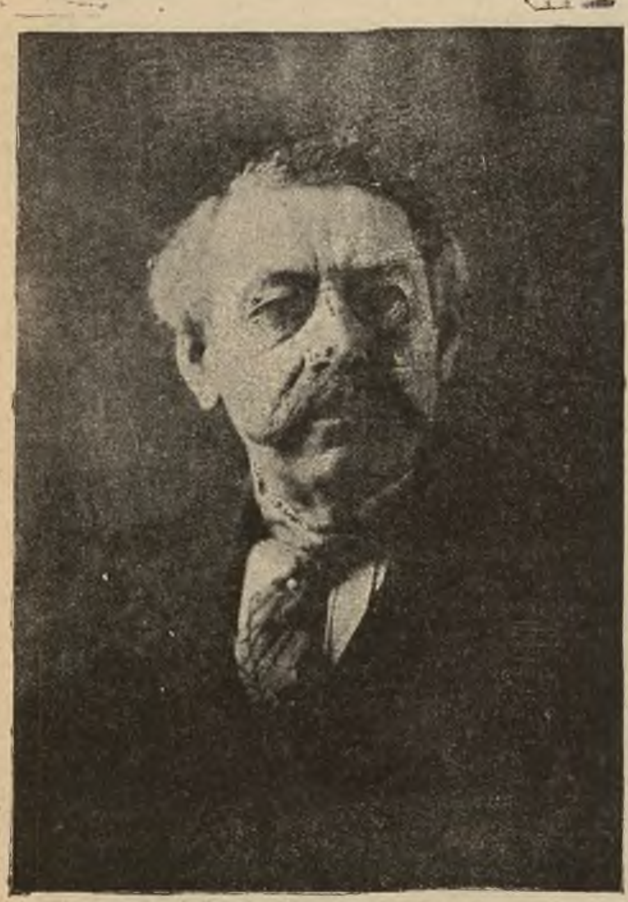
Po śp. Zapolskiej zeszły w stosunkowo krótkim czasie do grobu dwa wybitne talenty pisarskie, śp. Stanisław Kozłowski i Zygmunt Sarnecki. Oba nazwiska zapisane były chlubnie zwłaszcza w dziejach naszej literatury dramatycznej ostatniego okresu.

Sp. Zygmunt Sarnecki, człowiek o wysokiem wykształceniu i wyrobionym smaku artystycznym, życie swoje całe i majątek poświęcił służbie literatury, w której zajął bardzo poczesne miejsce jako autor wielu w swoim czasie bardzo popularnych i cieszących się ogólnem uznaniem utworów dramatycznych, tak oryginalnych jak i przeróbek i tłómaczeń z obcych języków (najpopularniejsze z nich: „Febris aurea", „Harde dusze", „Szklana góra") całego szeregu studyów literackich i artystycznych oraz nowel, czytywanych z ogromnem zajęciem. Niepośledni znawca obcych języków i literatur, wiele cennych utworów przełożył na język polski, jego podręcznik literatury francuskiej zyskał mu zasłużony rozgłos. Jako założyciel i wydawca illustrowanego dwutygodnika „Swiat", wprowadził do naszej literatury nowy typ pisma peryodycznego, koło którego zgrupowało się wiele młodych talentów, dając się poznać na jego łamach szerszej publiczności. Jakiś czas kierował teatrem w Poznaniu, był również doradcą literackim krakowskiej sceny. Ostatnie lata swego sędziwego żywota przepędził prawie w niedostatku, zmarł w Krakowie w 85 roku życia w Zakładzie im. Helclów. Zgon jego wywołał ogólny żal, śp. Sarnecki cieszył się bowiem uznaniem nietylko dla swych prac literackich, ale i dla zalet swego serca i charakteru, któremi umiał sobie jednać otoczenie.

Sp. Stanisław Kozłowski zmarł w Warszawie śmiercią samobójczą, nie mogąc przeżyć zmiany obecnych stosunków w dziedzinie literatury, które jego nie tak dawno jeszcze pierwszorzędnego autora dramatycznego, zesuwały na plan drugi. Czuł, że no-



Po upadku gabinetu Brianda: Budynek przy promenadzie „de la Croisette" w Cannes, gdzie odbywały się ostatnie posiedzenia Rady Najwyższej.



Po upadku gabinetu Brianda: Były prezydent gabinetu francuskiego i minister spraw zagranicznych, Arystydes Briand.

RENE BURES

Zil=X...

Ałómaczyła z francuskiego MARYA SEGENY.

8)

Lecz nie mogli pospieszyć za nim; ajenci pilnowali wejścia, a pan sędzia Giroux wydał im nakaz nie wpuszczania nikogo; przedewszystkiem zaś dziennikarzy.

Sprawozdawcy „Burzy" chwycili się więc innego środka. Czatowali na doktora, gdy wchodził Brunel, przystąpili do niego i przywitali uprzejmie. Doktór był ich dawną znajomością. Już niejednokrotnie za ich pośrednictwem pojawiały się w dzienniku zaszczytne wzmianki o działalności doktora, który wiedział dobrze, że z panami z prasy lepiej jest żyć w stosunkach przyjaźni, niż narazić się na ich złośliwe uwagi. Przyjął więc ich równie uprzejmie i objaśnił, że przystąpi w pawilonie do prowizorycznego tylko badania zwłok, gdyż badanie szczegółowe odbyć się ma dopiero nazajutrz w Mordze.

— Do widzenia więc — rzekł, żegnając sprawozdawców.

Kiedy wyszedł z pawilonu po upływie pół godziny, zastał oczywiście dziennikarzy oczekujących na niego przed bramą. Zwierzył więc im bez wahania, że kapitan de Limandoux zmarł z trzech ran odebranych kulami rewolwerowemi i że najprawdopobniej śmierć nastąpiła bezwłocznie, gdyż wszystkie trzy rany były śmiertelne.

— Nie było innych ran? — zapytał jeden z dziennikarzy.

— Nie — odpowiedział doktór Brunnel. Jednakże zauważyłem na tyle głowy między włosami krwawiące zadrapanie skóry. Ale według mojego przekonania ten szczegół jest bez znaczenia. Kapitan musiał być ugodzony w stojącej postawie. Oczywiście musiał upaść na wznak i padając zranił się zapewnie o brzeg wystający łóżka.

Sprawozdawcy oczywiście czemprędzej wiadomość tę przesłali telefonicznie do swojej redakcyi, nie zaniedbując najdrobniejszego szczegółu, poczem powrócili do willi. Nie wiadomo jakim sposobem mogli się oni dowiedzieć, że sędzia Giroux przeprowadza właśnie śledztwo i że odkrył przy drzwiach pokoju sypialnego leżący browning.

Faktem jest jednak, że już w następnem wydaniu czytałem co następuje:

— „Godzina 8 m. 45. Znaleziono w pokoju zbrodni browning, z którego trzy kule były wystrzelone. Ponieważ kapitan de Limandoux otrzymał trzy rany od kul, sędzia Giroux przypuszcza, że jest w posiadaniu broni, którą posługiwał się morderca".

* * *

Kiedy o godzinie dziesiątej pan sędzia Giroux, wsiadł do automobilu, który go przywiózł do pawilonu, reporterzy pospieszyli za nim. Uczynili to właściwie z obowiązku fachowego, bo nic więcej nad to co już wiedzieli, dowiedzieć się nie spodziewali. Zdziwili się niemało, kiedy automobil zamiast podążać w stronę Paryża, skręcił na boczną drogę, prosto do Rainey. Przypuszczali więc, że sędzia chciał raz jeszcze czynić poszukiwania w willi „Bzów".

Ale automobil nie zatrzymał się wcale przed willą. Przejechał obok niej i stanął przed domem znajdującym się po prawej stronie. Sędzia Giroux wysiadł, a reporterzy tak szybko zeskoczyli ze swojego automobilu, iż mogli usłyszeć jak mówił do służącego poprzez sztachety ogrodu.

— Proszę uprzedzić pana Jerzego Dambleuse, że sędzia Giroux pragnie z nim mówić natychmiast.

Dla mnie, czytającego te wiadomości w „Burzy", postępowanie pana Giroux było zupełnie jasne. Sędzia skonstatował zabójstwo kapitana de Limandoux. Pozatem musiał być uprzedzony przez Markasa, że młody awiator wyjeżdżał gdzieś konno tej samej nocy. Fakt ten wydał się sędziemu podejrzanym i naprowadził go na różne przypuszczenia.

Dla mnie było to rzeczą całkiem naturalną. Reporterzy jednak wnioskowali ten fakt na swój sposób.

Więc jeden z nich pozostał na straży przed pawilonem Jerzego Dambleuse, drugi udał się do pierwszych domów w Rainey, aby zasięgnąć jakich informacyi. Rozmawiali z dostawcami pawilonu, z żandarmami, nawet z szoferem z willi „Bzów". Przekonali się też łatwo, że Jerzy Dambleuse był przez kilka miesięcy codziennym prawie gościem senatora Poivrier i jego rodziny i że mówiono ogólnie, iż był narzeczonym panny de Beaumont.

To jeszcze nie wszystko.

Manewrując zręcznemi pytaniami, dowiedzieli się jeszcze, że nagle, na piętnaście dni przed dokonaniem zbrodni Jerzy Dambleuse przestał pokazywać się w willi „Bzów" i równocześnie ogłoszone zostały zaręczyny panny de Beaumont z kapitanem de Limandoux. W parę dni panna de Beaumont przeniosła się do pałacu swoich przyszłych teściów.

Reporterzy opowiedzieli to wszystko w dziennikach, zręcznie, nie kompromitując się wcale, zwalając całą odpowiedzialność za podanie tych wiadomości na osoby, od których je otrzymali. Jednakże w opowiadaniach swoich tyle było insynuacyi i różnych niedomówionych słów, że na Jerzego Dambleuse spadły ciężkie i poważne oskarżenia.

Sędzia śledczy u awiatora Dambleuse.

Sam ten tytuł musiał zrewolucyonować Paryż. Było to w czasie, kiedy awiatorzy dokonywali pierwszych swoich prób odwagi i zimnej krwi. Jerzy Dambleuse uchodził za najśmielszego bohatera pośród wszystkich swoich kolegów.

To był on, który swojego czasu dotarł pierwszy na swoim aeroplanie do znienawidzonego państwa.

Kiedy więc chłopaki uliczne zaczęli wykrzykiwać po calem mieście tytuł senzacyjny „Burzy", nie było jednego przechodnia, któryby pchnięty ciekawością, nie kupił dziennika.

Tymczasem pan sędzia Giroux znajdował się w domu Jerzego Dambleuse. Przepędził tam godzinę całą. W pewnej chwili towarzyszący mu ajent policyjny wyszedł z pawilonu i z oczekującego automobilu wyjął niewielką paczkę jakąś poczem powrócił do mieszkania. Oto wszystko czego był świadkiem sprawozdawca „Burzy", czatujący na drodze. Jednak nie długo czekał na zdarzenie większej wagi. Oto w kilka minut później pan Giroux wyszedł z pawilonu w towarzystwie trzech ludzi.

Był to Jerzy Dambleuse z łańcuszkami na rękach w asyście dwóch ajentów policyjnych. Sędzia wszedł do automobilu i usiadł w głębi po prawej stronie, obok niego usiadł jeden z ajentów. Przednie zaś siedzenie zajął Jerzy Dambleuse i ajent drugi. Poraz pierwszy zapewne sędzia śledczy jechał obok oskarżonego. Zazwyczaj czynność przewiezienia więźnia pozostawia on swoim podwładnym.

Ale pan Giroux jak już nadmieniliśmy nie był zwykłym sędzią. Nie lubiał się on trzymać utartych zwyczajów. Kiedy pisarz jego usiadł obok szofera, automobil ruszył szybko z miejsca, zanim zaś pędził pojazd „Burzy" zajęty przez sprawozdawcę, który zdążył zauważyć, że chuda twarz sędziego jaśniała uczuciem szatańskiej iście radości.

Tym razem udano się prosto do pałacu sprawiedliwości. Sędzia podpisał akt aresztowania i Jerzy Dambleuse odprowadzony został do więzienia. Wówczas to, reporterzy, o których wspominaliśmy już, mieli sposobność wykazać całą potęgę swojej przebiegłości i talentu.

Żaden z nich nie wszedł do gabinetu sędziego. Żaden z nich nie był świadkiem przesłuchania Jerzego Dambleuse, a jednakże wszyscy w wieczornych wydaniach dzienników podali dokładne wiadomości o przebiegu sprawy.

Szczególne przesłuchanie.

Z artykułów drukowanych w „Burzy" streszczam więc to, co miało miejsce po osadzeniu w więzieniu Jerzego Dambleuse. Miałem wiele razy sposobność sprawdzić wiarygodność tego opowiadania, jakoteż dziwne zachowanie oskarżonego, zachowanie, w którem trwał Jerzy Dambleuse przez cały czas denerwującego jego procesu.

Pan sędzia Giroux wszedł do gabinetu, gdzie się znajdował młody awiator i bez żadnych wstępów oznajmił prosto:

— Pan kapitan de Limandoux został zamordowany.

Jerzy Dambleuse nie zdziwił się temi słowami ani nie wzruszył. Spojrzał spokojnie na sędziego i czekał na dalsze jego słowa.

— Pan znał kapitana de Limandoux? — zapytał pan Giroux.

— Tak — odpowiedział Jerzy Dambleuse.

— Był pan nawet jego przyjacielem, jak sądzić mogę z różnych zeznań.

— Nie, proszę pana.

— Ah! ah! — wyrzekł pan Giroux. — Pan nie był jego przyjacielem?! Czy pan chce powiedzieć, że nie czuł pan żadnej sympatyi dla niego?

— Ani sympatyi, ani antypatyi. Kapitan de Limandoux był mi zupełnie obojętnym.

— Jednakże był on narzeczonym panny de Beaumont — uzupełnił sędzia.

Jerzy Dambleuse milczał.

— Czy pan wiedział, że kapitan de Limandoux był narzeczonym panny de Beaumont?

— Tak panie.

— I to było dla pana przykrem — nieprawdaż?

— Nie.

— Jednakże, utrzymują, że pan kochał pannę de Beaumont?

— Kto to utrzymuje? — zapytał Jerzy Dambleuse z najwyższym spokojem.

— Panie — rzekł surowo pan Giroux, zwracam panu uwagę, że to ja, zadaję pytania.

— Najniedelikatniejsze...

— Pan mnie obraża.

— Tak, panie sędzio.

— Niech się pan strzeże! Chcę na razie zapomnieć o słowach pana. Ale przypominam panu, że jestem urzędnikiem, na którym ciąży zadanie wykrycia prawdy. I odkryję ją.

— Tem lepiej dla pana.

— I ażeby ją wykryć, stawiam wszelkie mi potrzebne pytania. Zapytuję pana więc: czy prawdą jest, że była mowa o małżeństwie pana z panną de Beaumont?

— Ja zaś panu odpowiem; niech pan to pytanie zada samej pannie de Beaumont.

— Zadam je panu i wiele innych jeszcze — odrzekł pan Giroux z gniewem. Pan bawi się w dobrze wychowanego człowieka...

— I jestem nim panie sędzio.

— Dobrze... dobrze... przyznaję to panu... jest pan dobrze wychowanym człowiekiem. Niechże pan przynajmniej zechce mi powiedzieć, co pan robił zeszłej nocy?

— To, co chciałem.

— Panie! To nie do zniesienia! Jeszcze nikt w świecie nie ośmielił się w ten sposób odpowiadać sędziemu śledczemu.

— Nowości nie przerażają mnie!

— Panie Jerzy Dambleuse, stawiam panu poraz ostatni to pytanie: co pan robił zeszłej nocy o tej godzinie, w której zamordowano kapitana de Limaudoux?

— O której to godzinie, o której, panie sędzio zamordowano kapitana de Limandoux — zapytał z zajęciem Jerzy Dambleuse.

— Pomiędzy godziną dziesiątą a dwunastą w nocy, o ile wierzyć można w pierwsze dochodzenia.

— A dochodzenia następne nie mogły ustalić tej godziny niepewnej?

— Powiem to panu jutro.

— A więc pan pozwoli, że ja również odpowiem jutro.

— Ale teraz panie Dambleuse, może odpowie mi pan na pierwsze pytanie wyrażone z tą zmianą: co pan robił wczoraj w nocy pomiędzy godziną dziesiątą a dwunastą?

Jerzy Dambleuse w milczeniu przycisnął guzik dzwonka znajdującego się pod ręką jego. Natychmiast zjawił się służący.

— Izydorze — zwrócił się do niego — proszę cię powiedz panu sędziemu Giroux, co robiłem wczoraj między godziną dziesiątą a dwunastą w nocy.

Służący zmięszał się.

— No! dalej! mów! — rozkazał młody człowiek.

— Nie... niewiem... wyjąkał służący.

— Nie wiesz, co robiłem wczorajszej nocy?

— Nie... wiem...

— A więc, panie sędzio — oświadczył ironicznie Jerzy Dambleuse, nie mogę panu odpowiedzieć.

— Dlaczego?

(Ciąg dalszy nastąpi).

JADWIGA MIGOWA.

PANTERKA

(Powieść współczesna).

Dzieci przestraszone nie przestawały płakać. Matka nie próbowała ich nawet uspokajać. Ten płacz podniecał ją jeszcze w zaciętym, rozpacznym uporze:

— Nie dam!... nie dam!... ja żona!... ja matka!...

Zbudziły się i sługi. Pokojówka Marcelka, impertynencka blondynka z zadartym noskiem zjawiła się na progu sypialni:

— Stało się tu co? czy co? Bo takie krzyki, że spać nie można!...

Małe jej oczka mrugały szydersko i śmiały się złośliwem zadowoleniem.

Bąblowa nawpół przytomna zwróciła ku niej głowę. Aroganckie słowa służącej przeszły obok jej myśli. Nie słyszała ich.

— Marcelko, zostań tu przy dzieciach!... Popilnuj ich!... ja wychodzę!... muszę wyjść!...

— Co? teraz, po nocy?... wiatru w polu szukać?... Policyant panią „zahaltuje"!

— Muszę...

— Ano, jak pani musi... — zarechotała zjadliwym śmieszkiem — cicho bębny!... nie drzeć się, bo dziada zawołam, to was do torby zabierze!...

Bąblowa zarzuciła na głowę szal, płaszcz na ramiona i wybiegła z mieszkania. Stróż, który jej otwierał bramę, przeżegnał się, jak na widok upiora.

— Stara zwaryowała!... — oznajmił potem swej połowicy — poleciała w miasto, jakby ją co opętało! Pewnikiem jego gonić!... jeszcze ją zaharesztują...

— Wszystkie chłopy podłe!... — zakonkludowała stróżowa.

Bąblowa, skoro znalazła się na ulicy i owiał ją mroźny wiatr, oprzytomniała. Uświadomiła sobie, że nie ma pojęcia, w którą skierować się stronę, gdzie szukać męża i jego towarzyszki?! Rozglądała się na prawo i na lewo — bezradna. Jakiś przechodzeń dotknął jej ramienia:

— Cóż? panienka sama?... To nie dobrze... może...

Spojrzała na niego załzawionemi oczyma. Zrozumiał odrazu pomyłkę i cofnął się.

Dokąd iść?!... gdzie oni?!... Zbierała forsownie myśli, usiłując coś wykombinować. Przypominała sobie nazwy restauracyi, do których mąż zwykł był uczęszczać. Ale teraz już blisko dwunasta, lokale pozamykane... Zaczynała coraz bardziej powątpiewać w skuteczność swych poszukiwań i gotowa była już nawet wrócić do domu, gdy nagle posłyszała:

— Dobry wieczór!...

Był to Sternnagel, którego Bąblowa znała, bo kilkakrotnie zachodził do jej męża. Teraz malarz zirytowany do najwyższego stopnia, porzucił towarzystwo Stefki, Bąbla i Olczaka, klnąc „panterkę", która sobie zadrwiła z niego.

— Proszę pana! czy pan nie wie, gdzie mój mąż jest?...

Sternnagel zachichotał wewnętrznie. Los mu nasuwa sam świetny sposób odwetu. Trzeba im zrobić ten „kawał".

— Owszem, wiem...

— Gdzie?!

Sternnagel wymienił nazwę hotelowej restauracyi i ofiarował się rycersko:

— Ja panią podprowadzę...

— Dziękuję panu... jaki pan dobry!... a ja myślałam, że ci wszyscy, co się z moim mężem włóczą, to same łajdaki!...

Malarz spojrzał uważniej w ściągniętą cierpieniem twarz kobiety. Żal mu się jej zrobiło.

— Proszę pani, może pani jednak wróci teraz do domu, a później dopiero rozmówi się z mężem?

— Nie! nie! ja go muszę znaleźć!... Pan wie, on tam jest z jakąś... jakąś... Uderzył mnie przez nią... O dzieciach zapomina... wszystko dla takiej...

Załkała krótko, żałośnie.

— Niechże się pani uspokoi. Niech pani nie płacze...

— Panie, pan ją zna?

Zawahał się przez chwilę z odpowiedzią.

— Znam.

— A ona ładna?... bardzo ładna?... — pytała gorączkowo.

— Tak sobie... dosyć...

— Choćby i najpiękniejsza była. to przecież ja jego żona!... Osiem lat przeżyłam z nim!... Biednie bywało, ale szczęśliwie, spokojnie!... Z tym wielkim majątkiem przyszło na nas to nieszczęście!... A dzieci, panie, dzieci!... Chodźmy!... chodźmy!... niech ja tej kerykaturze do ślepiów zajrzę!...

Sternnagel był zmieszany. Pierwszym odruchem jego była chęć spłatania złośliwego figla tamtym obojgu, ale teraz czuł, że zanosi się na prawdziwy dramat.

— Niech pani posłucha mojej rady. To nie będzie dobrze, jeżeli pani teraz urządzi tam scenę... Lepiej jutro w spokoju pogadać sobie z mężem...

— Nie chcę czekać!... nie mogę!... — upierała się rozpaczliwie kobieta — mnieby serce pękło do rana!...

— Ha!... jeśli pani koniecznie chce — to chodźmy...

— — — — — — — — — — — — — — — — — — —

— No! no! tym razem to jeszcze daruję, ale żeby mi się to nie powtórzyło, bo się naprawdę pogniewam.

— Stefuś... Stefuś śliczny... — Bąbel przylgnął zapalonemi wargami do obnażonego ramienia Stefy.

— Nie można... nie można... pan Olczak się patrzy... — drożyła się kusząco, chcąc niby usunąć rękę.

— Także miałbym się na co patrzyć!... — wzruszył ramiona Olczak, który sączył tymczasem jeden kieliszek likieru za drugim — bądźcie jak u siebie w domu... Ostatecznie mogę zniknąć....

— Redaktorze! tyś mój prawdziwy przyjaciel!...

— Co to u dyabła za hałas!... — zdziwił się Olczak — kelner robi jakąś awanturę, czy co?!... Niema teraz porządnie wytresowanej służby.

Istotnie z za drzwi dochodziły odgłosy jakiegoś szamotania, płacz kobiety i krzyk kelnera:

— Co to znaczy?!... Wynoś się pani!... Tutaj nie można!...

— Ja muszę... ja muszę...

Drzwi szarpnięte gwałtownie otwarły się. W jarzący blask świateł elektrycznych, w atmosferę przesyconą perfumami Stefy, zapachem jej włosów i ciała i wonią alkoholu, wdarła się kobieta w czarnym płaszczu, zaśnieżona, z rozrzuconymi, zmoczonymi włosami, z których spadł szal.

Bąbel zerwał się jak oparzony, Stefa wydała pisk przerażenia.

— Co, ty tutaj?!... Chodź stąd!... chodź natychmiast!... — Bąbel podbiegł do żony i chwycił ją za rękę, usiłując wyprowadzić. Wyrwała mu się.

— Ja mam iść!... ja, twoja żona?! żebyś ty z tą ladaczką!... z tą flondrą!... i z tym szubrawcem... — szloch zdławił jej głos w gardle, ale pięścią groźnie zaciśniętą potrząsała.

Olczak, widząc na co się zanosi, drapnął odrazu. Stefa chciała zrobić to samo, ale Franka zagrodziła jej drogę.

— Od mojego męża ci wara! ty łakudro!... włóko!... złodziejko! bo ci te kudły pokręcone powyrywam!... bo ci...

Stefa rzuciła się wstecz przed tamtą rozjuszoną, rozwścieklona... gotową do ostateczności bronić swoich praw... Wybuchnęła spazmatycznym płaczem.

— Czego ta waryatka chce odemnie!... — zaniosła się histerycznym płaczem — O! ja nieszczęśliwa!... do tegoś mnie pan doprowadził, żeby mnie tak kto sponiewierał!... Ja pani męża znać nie chcę!... Niech idzie do wszystkich dyabłów!... Ja tego nie przeżyję!... nie przeżyję!...

Chwyciła kapelusz, żakiet i wybiegła.

— Stefciu!... Panno Stefanio!... — krzyknął rozpaczliwie Bąbel.

Byłby pogonił za nią, gdyby nie kelner, który wszedł w tej chwili z miną wielce surową.

— Proszę pana, takie krzyki, awantury, to niedozwolone!... To nie szynk na Krowodrzy, nie karczma żydowska, ale porządny lokal dla eleganckich gości!... To naszą firmę kompromituje!... Pan zechce, wyrachować rachunek!...

— Rachunek... a tak rachunek... — wybąknął Bąbel, który w tej chwili czuł się niesłychanie zawstydzony i nieszczęśliwy — a ile się należy?...

Kelner wymienił sumę trzykrotnie wyższą, kombinując, że wzburzony, zdenerwowany gość, który zrobił taki skandal w lokalu — rachunku z pewnością kontrolować nie będzie.

Nie omylił się, bo Bąbel zapłacił bez wahania, ile od niego żądano.

— Proszę pana — zamykamy...

— Antoś! chodź do domu!... — jęknęła Franka, która przytulona do ściany, stała teraz drżąca i pełna przerażenia. Ominął ją już szał gniewu, a ogarnął przestrach z powodu tego, co zrobiła.

— Antoś! chodźmy do domu... do dzieci...

Spojrzał na nią — twardo, wrogo, nieubłaganie

— Między nami wszystko skończone — rozumiesz?

— Antoś!...

— Skończone! powiedziałem!...

ROZDZIAŁ X.

— Pani w domu?

— W domu... A co sobie pani życzy?... — szykowna służąca w białym fartuszku i motylku we włosach krytycznie obejrzała od głowy do stóp starą Łączkową.

— Chcę się widzieć z panną Łączkówną...

— Ale czego sobie pani życzy? Może pani tą praczką, co ją mieli przysłać z biura?!

— Ja nie żadna praczka!... ja jestem matka! panna mnie tu nie wstrzymuj!...

Łączkowa zamaszyście usunęła sobie z drogi dziewczynę i skierowała się ku drzwiom, w których teraz stanęła Stefa w jedwabnym szlafroczku koloru łososiowego, przybranym kremowemi koronkami.

— No, ależ to do ciebie trudno się dostać! Podanie na stemplu robić, czy jak?...

— Niechże mama tak głośno nie mówi!... Niechże mama wejdzie... Zosiu podaj herbatę i ciastka...

Pokój, do którego Stefa wprowadziła matkę był obity tapetą bardzo w delikatne złote pasy tego samego koloru meble wyściełone miękkie, kryte brokatem rozstawione na posadzce zasłanej perskimi dywanami. Na ścianach obrazy przeróżnej wartości: od zwykłych oleodruków, do dzieł prawdziwej sztuki, włoskie Madonny obok futurystycznych rebusów, pejsaż zimowy Fałata razem z „landszaftem" z jeleniem, strumieniem i ruinami zamku na wzgórzu... wszystko ujęte w bogate kosztowne ramy — przeważnie niestosowne.

Łączkowa, która tu przyszła właściwie po to, aby córce „rozirząsnąć sumienie" straciła jakoś rezon.

— Ładnie tu u ciebie... — bąknęła.

— A tak... niezły salon... Choć mógłby być lepszy... jeszcze ja to wszystko inaczej urządzę... Niechże mama siada...

Łączkowa z widoczną ostrożnością siadła na miękkiej kozetce, jakby się bała, że się ten delikatny mebel pod ciężarem jej rozłożystej postaci zawali.

— I fortepian jest? — wskazała na pianino zamknięte i nieokurzone, bo proch spoczął na nim dość grubą warstwą.

— A jakże?

— Przecież ty grać nie umiesz?

— To cóż z tego? Ale to do szyku należy...

— Hm... — chrząknęła Łączkowa. Oszołomiona była i nie wiedziała co ma właściwie mówić. Po chwili przypomniała sobie wszakże po co przyszła.

— Stefka!... To jest Sodoma i Gomora! — wykrzyknęła, uderzając nogą obutą w rozklapany trzewik o dywan — Sodoma i Gomora!...

— Nie! to jest perski dywan!...

— Ty sobie nie kpij!... To jest przecież ciężki grzech i wstyd!... On się przecież z tobą nie ożenił...

— A dlaczego nie? — zapytała spokojnie Stefka, przeciągając się rozkosznie w bujającym fotelu.

— Rżnął ją przecież!... rozwiedzie się i koniec!...

— Dajże ty spokój, dziewczyno! gdzie tam jaki rozwód od świętego Sakramentu małżeńskiego!...

— Co się mama na tem zna!... Teraz inaczej niż dawniej!... Jak kto ma pieniądze, to dziesięć rozwodów dostanie, nie jeden!... Napisze do papieża i po koncercie!...

— A jeżeli tak... Choć zawsze to żonę ma, dzieci... Ale, że ładnie u ciebie — to ładnie... Słuchajno, czy on bardzo bogaty?

— Naturalnie, że bogaty! Przecieżbym się inaczej na niego nie popatrzyła... Taki Bąbel!... — wymówiła to nazwisko z wyraźną pogardą.

(Ciąg dalszy nastąpi).

ALFONS DAUDET.

BANDYTA GUASTANA

1)

— Bodaj licho porwało wszystkie nęcące prefektury krajowe! — zawołał pewnego razu baron Bourdet. — W tych t. zw. malowniczych okolicach nie wszystko tak gładko się wiedzie, jak gdzieindziej; zwłaszcza jeżeli się kto nie urodził tutaj — a po większej części tak jest — wtedy jako urzędnik ma do zwalczenia nieprzerwany łańcuch utrapień i różnych tarapatów. Gdybym był pisarzem z powołania, mógłbym sam napełnić gruby tom wyliczeniem wszystkich nieprzyjemności, jakich w przeciągu trzech lat mego pobytu w Korsyce, jako radca prefektury, doznałem.

Jedno atoli zdarzenie, które mnie tam spotkało, chciałbym opowiedzieć ku rozweseleniu czytelnika.

Było to krótko po objęciu mego stanowiska w Ajaccio. Pewnego pięknego poranku siedzę sobie w kawiarni, pozbierawszy wszystkie paryskie dzienniki, cieszę się, że dowiem się czegoś z mych stron rodzinnych, gdy nagle wpada służący prefekta, oddaje mi bilet, na którym wyczytałem te słowa: „Przybądź pan spiesznie, potrzebuję koniecznie widzieć się z tobą. Mamy bandytę Guastana". Okrzyk radosny wydarł się z mych piersi, pobiegłem czempręd zej do prefektury.

Dla zrozumienia mej radości dodać winienem, że podczas drugiego cesarstwa ujęcie korsykańskiego bandyty uważano za rzecz nadzwyczaj ważną. „Colomba", opowiadanie Merime'a, obudziło w Tuilleryach zajęcie się na nowo stosunkami korsykańskiemi. A jeżeli który z prefektów miał to szczęście, że ujął jednego z owych osławionych, a niekiedy sławnych opryszków, wtenczas z pewnością awansował na radcę pierwszej klasy, zwłaszcza, jeżeli w protokule powiedziano, że schwytanie bandyty połączone było z wielu trudnościami.

Nieszczęściem, bandytów było coraz mniej, wymierali oni potroszę. Korsyka była wówczas na drodze cywilizacyi, a *vendetta*, czyli krwawa zemsta, ustała zupełnie. Jeżeli niekiedy w odleglejszych obwodach, który z tubylców chwycił za sztylet lub broń palną, aby wykonać czyn zakazany, wtedy wynosił się do Sardynii, a tam dotąd nie można go było ścigać.

Prefekci nie cieszyli się z tego. Nie stało bandytów, nie było też radców pierwszej klasy. Polując ciągle na owe indywidua celem zrobienia karyery, mój prefekt miał rzeczywiście to szczęście, że schwycił jednego z nich. Tak myślałem wówczas. Guastana był to stary rabuś, który chcąc pomścić morderstwo, popełnione niegdyś na jego bracie, wymordował potrosze całe rodziny. Działo się to w latach 1840 i 1842. Odtąd ukrywał się w górach, pokazując się tylko tu i ówdzie, aby nową wyszukać ofiarę, a po spełnieniu niecnego czynu władze poszukiwały go z tem większą skwapliwością. Kiedy jednakże w żaden sposób nie można go było wytropić, z czasem poszła ta sprawa w zapomnienie. Pomimo to rabuś nie czuł się nigdy bezpiecznym, będąc zawsze nadzwyczaj ostrożnym. Kiedy po latach wielu rozpoczęto na nowo pogoń za nim, była ona zawsze bezskuteczną.

To też powstała pomiędzy nim a nami, t. j. władzą rządową, wojna wedle wszelkiej reguły. My mieliśmy wojsko, żandarmeryę i telegrafy. Guastana zaś miał po swej stronie pasterzy, węglarzy i całe położenie miejscowości Monte Rotonde, gdzie pomiędzy urwiska i skały chyba tylko ptaki i kozy mogły pójść za nim.

Wreszcie prefektura porzuciła myśl schwytania go kiedykolwiek. Aż tu nagle nadeszła wiadomość „mamy go". Można sobie wyobrazić, jak miłą to dla mnie było niespodzianką.

Zastałem prefekta rozmawiającego żywo z małym jakimś człowieczkiem, którego rysów twarzy trudno było dojrzeć, tak gęstą i rozczochraną była jego broda. Był to prototyp korsykańskiego chłopa. Na głowie miał czapkę wełnianą, a za pasem długie nożyce, których ci ludzie używają do rozdrabiania na dłoni świeżych wielkich ilości tytoniowych.

— To jest krewny Guastana — szepnął mi do ucha prefekt. — Mieszka on w małej wiosce Solenzara pod Porto Vecchio, a bandyta odwiedza go co niedzielę, by pograć z nim partyę „Scopa". Zdaje się, że ostatnią razą pokłócili się przy grze; czuły krewny, aby się zemścić, robi mi tę dziwną propozycyę, że odda w me ręce Guastana. Mówiąc między nami, zdaje mi się, że można mu zaufać. Atoli chociaż pragnę usilnie schwytania bandyty i to z jak największym rozgłosem, musimy jednakże bardzo być ostrożni, aby w razie nieudania się naszej wyprawy nie narazić się na śmieszność. Dlatego udałem się do ciebie panie baronie, prosząc cię o pomoc w sprawie. Niedawno pan tu mieszkasz, nikt cię nie zna; mógłbyś się przejechać i przekonać osobiście, czy tam naprawdę jest rzeczywisty Guastana, czy ten człowiek nie myli się sam, lub też nas nie zwodzi.

— Ależ ja nie znam waszego sławnego Guastana, nigdy go nie widziałem — odparłem.

Prefekt wyjął z pugilaresu fotografię dość zabrudzoną, mówiąc: „zabierz pan to z sobą, ten człowiek był tak nieroztropnym, że w roku zeszłym kazał się w Porto Vecchio fotografować".

Podczas gdyśmy się wpatrywali w mądrą, o ostrych rysach twarz bandyty, zbliżył się wieśniak, obserwując nas z boku. Udawał on, że nic go nie zajmuje, co się w koło niego dzieje, widziałem jednakże, iż z podełba rzucał na nas spojrzenie przeszywające jak ostrze sztyletu.

— Czy się nie lękacie — zapytałem go — aby obecność obcej osoby nie zwróciła uwagi waszego krewnego? Być może, w przyszłą niedzielę nie pokaże się u was wcale.

— O to nie mam obawy — odpowiedział wieśniak — jest on zanadto namiętnym graczem. Zresztą w Solenzara często bywają obcy przybysze, aby obejrzeć huty i lejarnie. Ja mu powiem, że pan przybyłeś również do mnie, abym mu wskazał, gdzie najwięcej kwiczołów ubić można. Mamy do tego właśnie stosowną porę.

Umówiliśmy się tedy, że w najbliższą niedzielę wieczorem spotkamy się w Solenzara, poczem wieśniak się oddalił, nie zażenowany tem bynajmniej, że chciał spełnić czyn tak niecny, jakim jest zdrada przyjaciela. Zaledwie się oddalił, pan prefekt rozpoczął dawać instrukcye.

— Przedewszystkiem mój radco kochany — mówił on — nie wspominaj pan ani słowa o tem zgoła nikomu! Rozumiesz pan, nikomu! Pełno tutaj wszędzie szpiegów, a bandyta z łatwością dowiedziałby się o naszych względem niego zamiarach. Zresztą nie chciałbym z nikim innym, prócz pana, dzielić sławy, jaka nas czeka po szczęśliwem dokonaniu wyprawy.

Zapewniłem prefekta o głębokiem milczeniu z mej strony, podziękowałem mu za zaufanie, jakie mi okazał i rozeszliśmy się, każdy przepełniony najpiękniejszemi nadziejami, on widział się już w duchu radcą stanu, a ja szefem prefektury w jakiejś malowniczej okolicy na stałym lądzie.

W najbliższą niedzielę, jak najraniej, uzbrojony od stóp do głów w myśliwskie przybory, wsiadłem do powozu pocztowego, który wzdłuż całej wyspy pomiędzy Ajaccio i Bastaja kursuje.

Dla miłośników przyrody nie masz na całym świecie piękniejszej i bardziej urozmaiconej podróży, jak droga, którą przebywałem. Z boku widniały lasy oliwne, a to sprawiało wrażenie, jakbyśmy byli w środku Prowancyi, dalej ciemne świerkowe lasy napełniały wonią powietrze. Z innej znów strony ukazywały się wierzchołki gór, pokryte śniegiem.

Przejeżdżaliśmy również obok pagórków obsadzonych od dołu do góry najpiękniejszemi plantacyami pomarańczowemi. Znajdujące się tu i ówdzie w pośród pagórków próżne miejsca dozwalały w dali dojrzeć wzrokiem modre fale morskie i płynące po nich okręta i łodzie rybackie.

W Bonifacio zatrzymaliśmy się, aby zjeść śniadanie, po którem wsiadłszy do powozu, czułem, że mi głowa troszeczkę ciężyła wskutek uraczenia się dość wytrawnem winem. W powozie zastałem towarzysza podróży, młodzieńca, którego kilka razy spotykałem na obiadach u mego prefekta.

Był on pomocnikiem w urzędzie administracyjnym w Bastia.

Młodzieniec ten paryżanin jak i ja, był w rozmowie nadzwyczaj uprzejmy i miły, lecz umiał być również złośliwym i satyrycznym.

Wiadomą jest rzeczą, że pomiędzy władzami rządowemi a administracyą miejską stosunki zwykle bywają naprężone, a na Korsyce działo się to wiele więcej, niż gdziekolwiek indziej.

Rząd miał swą siedzibę w Ajaccio, zarząd administracyjny zaś rezydował w Bastia, stąd też pomiędzy temi dwoma miastami panowała pewna rywalizacya. Nie miało to jednakże dla dwóch Paryżan, spotykających się na wygnaniu, żadnego znaczenia! Co ich tam obchodzić mogły obce kłótnie. Nie mówili oni o kraju, w którym obecnie mieszkali, lecz o tym, który opuścili.

Krótko i węzłowato, urzędnik pomocniczy z Bastia i moja osobistość zostali wkrótce dobrymi przyjaciółmi. Wino rozwiązało mi język, wynurzyłem wszystko, co miałem na sercu. Po jeremiadach nad obecnem wygnaniem w Korsyce, dodałem, że mam nadzieję powrócenia wkrótce do ukochanej Francyi, jeżeli tylko uda się wyprawa przeciw Guastanie, poczem opowiedziałem nowemu przyjacielowi pod pieczęcią najgłębszej tajemnicy całą historyę.

Kiedy mój przyjaciel wysiadł z powozu w Porta Vecchio, byliśmy z sobą per „ty" O! jakże pięknym jest wiek młodzieńczy!

Mała wioska Solenzara, do której w kilka godzin później przybyłem, leży ponad małą zatoką, do której wpływa dość szeroka rzeka, w środku tej osady jest ogromna huta, czyli lejarnia kruszców, która tej miejscowości nadaje pewne znaczenie. W domach zbudowanych około huty mieszkają robotnicy, rybacy i urzędnicy celni. W niedzielę, gdy przybyłem, miejscowość zupełnie była opuszczona, tylko w hucie wrzało nieustające życie fabryczne.

Stanąłem w obszernym i pustym domu zajezdnym. Wieczór się zbliżył, a Mateo, krewny Guastana, nie przybywał. Zjadłem kolacyę, sucha i przypalona pieczeń kozia nie bardzo mi smakowała, wypiłem kilka kieliszków jeden po drugim cierpkiego krajowego wina. Robotnicy z fabryki, którzy tu wstąpili na wypoczynek, także już wyszli, gospodarz doprowadzał mnie do wściekłości swem ciekawem badaniem co do mej osoby i celu przybycia do wsi. Nareszcie zjawił się Mateo.

Kłaniając się, szepnął zcicha, że Guastana już jest w jego domu i jeżeli zechcę, mogę go zaraz zobaczyć. Wyszliśmy tedy. Noc była zupełnie ciemna, wicher gwałtowny powstał i rzucał nam okruszyny żelaza, żwir i piasek prosto w twarz, w usta, w oczy i nos. Blisko milę szliśmy drogą wysypaną żwirem i drobnymi kończastymi kamyczkami; jak później dostrzegłem, było to koryto małej, w obecnej porze wyschłej rzeczki.

— Oto mój dom — odezwał się Mateo, wskazując na przedzierające się przez gałęzie drzew światełko, błyszczące jak gdyby mały świętojański robaczek.

W tej właśnie chwili wypadło tuż przed nim olbrzymie psisko, szczekając z wściekłości, jak gdyby chciało zatamować nam drogę i zmusić do odwrotu.

— Brucio, pójdź — wołał Mateo, a zwracając się do mnie, dodał — to pies Guastana; jest to zjadliwe, niebezpieczne zwierzę, w czujności nie ma równego sobie. Pójdź tu Brucio, chodź stare psisko! Czy ty myślisz, że to żandarmi?

Brucio uspokoił się temi słowy, a skacząc nam około nóg, poprzedzał nas do domu Matea, do którego za nim weszliśmy.

Dom ten był raczej rodzajem kamiennej chaty, z ogromną w środku dachu dziurą, która na podwójny służyła cel, jako komin i okno zarazem. Dwa łóżka, podobne do tych, jakie na okręcie widzimy, zajmowały połowę izby.

Na stole, otoczonym prostymi stołkami, stała świeca w drewnianym lichtarzu, około której pełno much i komarów brzęczało, a osmaliwszy sobie skrzydła, padało ofiarą śmierci.

Przy stole siedział mężczyzna z twarzą ogoloną, o rysach ostrych i energicznych, wyglądał jak rybak włoski lub prowancki. W ręku trzymał talię kart, a spoglądając na mnie, palił skwapliwie tytoń, iż otoczony był dymem, jak obłokami.

— Wuju Guastana — odezwał się Mateo przy wejściu — jest tu jeden pan z biura huty, chciałby jutro pójść ze mną na kwiczoły i zanocować tutaj, aby jak najraniej wyruszyć.

Jeżeli ktoś przez dziesiątki lat z górą nieustannie jest ścigany i prześladowany, to w końcu niedowierzanie każdej nowej fizyognomii stanie się dlań drugą naturą. Bandyta zwrócił na mnie swe małe czarne oczy, jak gdyby chciał mi wyczytać z twarzy, co się dzieje w mej duszy. Zdaje się, że nic podejrzanego nie spostrzegł we mnie, gdyż skinął głową na znak powitania, a odwróciwszy się, nie troszczył się więcej o mnie.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Kronika tygodniowa

Przedewszystkiem musi kronikarz na wstępie przeprosić tych z pomiędzy P. T. Czytelników, którym na wystosowane pod jego adresem zapytanie dotąd nie odpowiedział, częściowo dlatego, iż nie wiedział jak, częściowo zaś z powodu braku czasu i nawału innego materyału. Przyznać się musi, że te różne zapytania, aczkolwiek świadczą o zaufaniu Czytelników do jego mądrej głowy, stawiając go często w bardzo trudnem położeniu, aby bowiem zadość uczynić wszystkim, trzeba byłoby być chodzącym leksykonem, i to conajmniej, w szesnastu tomach z tomem uzupełniającym w dodatku, choć i w takim, wiadomo, wielu rzeczy się nie znajdzie i to najczęściej takich, których właśnie najbardziej potrzeba. Na przyszłość ma się kronikarz zamiar urządzić w ten sposób, że na odsyłane zapytania odpowiadać będzie co pewien okres czasu, aż się ich więcej nazbiera.

Na razie owemu ciekawemu „stałemu Czytelnikowi kronik", który dopytuje się kiedy zmarł śp. Pasek, odpowiedzieć musimy, że znaną nam jest jedynie data jego urodzin, to jest początek wojny, nie słyszeliśmy zaś nic dotąd o jego śmierci, przeciwnie, dochodzą nas ciągle wieści z wszystkich stron, że żyje, bardzo dobrze mu się powodzi i bynajmniej nie myśli o śmierci, zwłaszcza od czasu, gdy się dowiedział, że Urząd walki z lichwą ma być zniesiony, nie tyle ze względu na oszczędność, ile raczej na zdrowie niektórych obywateli, którym zupełnie niepotrzebnie spędzał sen z powiek.

Również w ogromny kłopot wprawiła kronikarza druga interpelacya, mianowicie dotycząca pisemka rzekomo humorystycznego, którego jeden czy dwa numery pojawiły się mniejwięcej przed półrokiem w Krakowie. Z ręką na sercu przyznać się musi, że o pojawieniu się tej gwiazdy na horyzoncie naszej humorystyki dowiedział się dopiero z listu Interpelanta i z nadesłanego przezeń łaskawie numeru. Zdaje się, że spotkał je los podobny gwiazdom niektórym, które jawią się tylko po to, aby pęknąć i pozostawić po sobie tylko trochę dymu. I owo pisemko zmieniło się w dym, jeśli je użyto na podpałkę, o ile, oczywiście, nie spotkał go smutniejszy los.

Łatwiejszą natomiast jest odpowiedź na pytanie, czy należy traktować humorystycznie czy poważnie niektóre wiadomości, podawane coraz częściej Czytelnikom na łamach *Kuryera*. Tutaj niema dwu zdań, pismo jest poważne, wiadomości zatem, jakie przynosi, również poważnie muszą być traktowane, z wyjątkiem oczywiście „Wesołego kącika", nad którym i tak niejeden nieraz łzę roni. Artykuliki powyższe są pozatem sygnowane prawdopodobnie pierwszą literą nazwiska autora z poprzedzającem „dr.", co dawniej oznaczało u nas „doktor", a taki chyba głupstw nie pisze.

Wiadomości, nadchodzące z Ameryki, nie sprawdzają się bardzo często, nie jest to jednak winą, ani *Kuryera*, ani tego, który je w nim popularyzuje, ale odległości i nieraz fałszywego zrozumienia angielskiego tekstu. Dlaczegóżby bowiem owa maszyna do ładowania rozumu we śnie przez otwór ucha lub innej części ciała miała być amerykańskim humbugiem, skoro wierzyliśmy, bez zastrzeżeń, że w Ameryce wynaleziono sposób przemieniania niewinnych kur na czupurne koguty, lub rodzenia się dzieci w retortach wedle systemu panny Mallevie z uniwersytetu z Filadelfii, która utrzymywała, że jedna kobieta może łatwo dać życie czterdziestu tysiącom potomstwa i to wyłącznie płci żeńskiej. Czytaliśmy o tem w *Kuryerze*, który wynalazł również łatwy sposób malowania obrazów na koszuli, nikt zaś wówczas nie podnosił żadnych wątpliwości, gdy natomiast dziś do owej cudownej maszyny odnosi się świat tak sceptycznie. A ona może ludzkości oddać tak znakomite usługi, zwłaszcza zaś w połączeniu z drugim amerykańskim wynalazkiem, również opublikowanym przez *Kuryera*, odnoszącym się do badania krwi i stwierdzania na tej drodze w sposób niezbity różnych szczegółów, które dotychczas wydawały się, jeśli nie zupełnie niemożliwymi, to przynajmniej bardzo trudnymi do sprawdzenia.

Oba te wynalazki amerykańskie mają dla ludzkości nadzwyczajne znaczenie i powinny być niebawem w jak najszerszym zakresie wyzyskane, a uproszczą w niebywały sposób dotychczasowy przestarzały system nabywania potrzebnych wiadomości i stwierdzania posiadanie takowych. Dawniej trzeba było męczyć się w szkole ludowej, potem w gimnazyum, wreszcie na uniwersytecie, zdawać rozmaite egzaminy, jednem słowem tracić nieproduktywnie drogi czas dla uzyskania świstka papieru, nazywającego się świadectwem, a otwierającego drogę do objęcia różnych stanowisk. W ostatnich czasach zaszła wprawdzie zmiana na lepsze i wystarczyło zapewnienie, że się jest mądrym, a wiadomości potrzebnych nabyło się przez „domowe wykształcenie". Odtąd starzy zacofańcy, którzy na wszystko, nawet na mądrość chcieli mieć dowody na piśmie, będą mieli buzię zamkniętą. Wystarczy sprowadzić sobie z Ameryki maszynkę do ładowania w mózgownicę wiadomości, położyć się do łóżka i zasnąć snem sprawiedliwych, a ona napcha w głowę tyle i takich umiejętności, jakich danemu osobnikowi potrzeba. Sen potrzebny jest dla zdrowia, teraz stanie się potrzebnym i dla wykształcenia się, im kto zaś dłużej śpi, tem będzie mądrzejszy. Pożyteczne połączy się z przyjemnem, za lat kilka lub kilkanaście nie będzie na świecie człowieka, który dzięki owemu amerykańskiemu systemowi, nie byłby wszechstronnie wykształcony.

I stwierdzenie zdobytych tą drogą wiadomości będzie wedle drugiego amerykańskiego wynalazku nadzwyczaj uproszczone. Wystarczy dać sobie zbadać krew, a próba ta wykaże niezbicie i stopień uzdolnienia.

Nie należy wątpić, że amerykańskie maszynki do robienia filozofów z największych tumanów zdobędą sobie wkrótce w całym świecie prawo obywatelstwa, w szczególności zaś u nas. Jak się dowiadujemy poszczególne ministerstwa zgłosiły już w prezydyum swe zapotrzebowania w tym kierunku, a pan minister Skirmunt nawiązał pertraktacye dyplomatyczne z rządem Stanów Zjednoczonych o dostarczenie na próbę narazie kilkuset maszynek, jeśli zaś okażą się praktyczne, nastąpi dalsze większe zamówienie. Śpijmy zatem spokojnie, bo właśnie sen przyczyni się do zmiany dotychczasowych stosunków oczywiście na lepsze, będzie z tego także i ta korzyść, że dotychczasowe budynki szkolne, jako zupełnie niepotrzebne będą mogły być zamienione na domy mieszkalne, lub użyte na pomieszczenie urzędów, których liczba mnoży się ciągle i przewyższyła już nawet dawną biurokratyczną Austryę. Społeczeństwo nasze składać się będzie odtąd z samych milionerów i uczonych, którzy mądrość swą stwierdzą próbą krwi, przeprowadzoną przez pierwszego lepszego cyrulika lub golibrodę. Jeśli się zważy, ile zaoszczędzi się czasu przez nabywanie wykształcenia podczas snu, musi się przyznać, że amerykański system przyczyni się też i do poprawy naszych stosunków ekonomicznych, wobec czego bez szkody dla ogółu, a ku zadowoleniu obrońców ośmiogodzinnego dnia pracy, będzie można takowy zredukować na sześciogodzinny. Czyli, zbierając to wszystko razem, amerykański pomysł przewróci do góry nogami stary, zapleśniały dotychczasowy porządek.

Szanowny Interpelant, który na kwestyę maszynek mądrościowych zapatruje się dość sceptycznie, zgodzi się chyba na to, że był w błędzie, bo będą one prawdziwem dobrodziejstwem dla ludzkości. Za humbug wiadomości tej nie uważamy, w danym bowiem wypadku byłaby ją redakcya *Kuryera* zaopatrzyła znakiem zapytania i dopiskiem: „od naszego własnego korespondenta". Że *Kuryer* był jedynem pismem, który ją podał, dziwić się także nie należy, chciał bowiem uprzedzić inne w zakomunikowaniu ogółowi sensacyi, aby się zrehabilitować, iż czasem nieco się spaźnia, czasem nawet i o miesiąc albo i więcej, jak naprzykład w doniesieniu z dnia 15 stycznia, że w Paryżu podczas pogrzebu „nieznanego żołnierza" rzuciła się z Łuku Tryumfalnego na bruk w oczach tysięcznych tłumów pewna niewiasta i poniosła śmierć na miejscu. Najprawdopodobniej musiała to być wdowa po nim, ale o tem notatka nic nie wspomina.

Załatwiwszy się z najważniejszemi odpowiedziami na zapytania pod jego adresem skierowane, chciałby kronikarz odpowiedzieć na jeszcze jedno, i to postawione przez samego siebie, dlaczego w niektórych cukierniach ciastka i pączki są droższe, w niektórych zaś tańsze i to, nawet w samem Śródmieściu i dlaczego za jeden pączek trzeba płacić pięćdziesiąt marek, gdy za taką pigułeczkę byłoby dość czterdzieści.

W dniu 13. stycznia obchodziła swe imieniny święta Weronika, a z nią i Jej imienniczka, dozgonna towarzyszka kronikarskiej doli i niedoli. Dzień ten, w kalendarzu domowym zakreślony czerwonym ołówkiem, należało obchodzić w sposób uroczysty, długo też łamał sobie nad tem kronikarz głowę, w jaki sposób dać wyraz uczuciom, napełniającym jego serce, a zbytnio nie naruszyć swych funduszów, które, w miarę zbliżania się końca miesiąca, zmniejszają się i to w postępie geometrycznym. Ostatecznie zdecydował się na kupienie sześciu pączków, aby solenizantka otrzymała dwa, a inni członkowie rodziny po jednym. Niechaj Weronika bodaj przez to pączki dowie się, że obecnie karnawał, skoro reumatyzm nie pozwala jej na ocieranie nogami łez nieszczęśliwym. Serce pękało, gdy za sześć pączków trzeba było zapłacić trzysta marek i mimowoli przychodziły na myśl przedwojenne czasy, gdy po pączki za powyższą kwotę musiało się zajeżdżać przed cukiernię magistracką śmieciarką, zaprzężoną w parę koni. A dziś?... Dziś przyniósł je do domu jeszcze ciepłe, cały pakiet zmieścił się bowiem wygodnie w kieszonce kamizelki. Radość w domu była z tego powodu bardzo wielka, daleko większa od samych pączków, które gryźć trzeba bardzo ostrożnie, aby każdy wystarczył na dwa razy. Marmolada, której ślady można wewnątrz znaleźć, przypomina smakiem ogromnie buraki, które obecnie zaliczone zostały do owoców południowych i zastępują ananasy, więcej nawet kosztując, niż one przed wojną.

Na temat tych pączków nasunęły się zatem kronikarzowi refleksye i zapytanie, na które nie mógł sobie dać odpowiedzi, dlaczego władze wojewódzkie, zajmujące się ustanawianiem „cen wytycznych", nie pomyślały o pączkach, artykule spożywczym, cieszącym się w czasie karnawału ogromnym popytem. Cukiernikom, którzy nam osładzają życie, życzy kronikarz, aby każdy z nich, o ile dotąd nie posiada jeszcze kamienicy własnej, stał się jak najrychlej jej właścicielem, niech się jednak kontentuje trzypiętrową, a nie myśli zaraz o drapaczu chmur, na którego budowę władze miejskie, nie znoszące w Krakowie żadnych innych prócz siebie, „wielkości" z pewnością mu nie zezwolą. Być może, że „ceny wytyczne" dla pączków pojawią się, ale nie wcześniej, jak dopiero w lecie, równocześnie z rozporządzeniem magistratu z uprzątania śniegu z chodników i dachów kamienic. Czterdzieści marek za pączek, uwzględniając wysokie ceny cukru, mąki, jaj, tłuszczów, a nawet owej buraczanej marmolady, byłoby zupełnie dosyć, nie tylko pokryłyby się koszta ich wyrobu, ale zostałoby jeszcze cośkolwiek na rachunek owej trzypiętrowej kamieniczki.

Właściwie w karnawałowym czasie nie powinno się poruszać polityki, aby sobie nie psuć humoru, jeśli zatem o nią zawadzimy, to tylko mimochodem. Do dyskusyi nadawałaby się przedewszystkiem spodziewana dymisya ministra Skirmunta, który ma zamiar niebawem pójść w ślady swego francuskiego kolegi, Brianda. Briand skręcił kark na zbytniej ustępliwości wobec Lloyd'a George'a i jego germanofilskiej polityki, Skirmuntowi zarzucają brak wszelakiego planu, choćby na najbliższą przyszłość i brak wszelakich wytycznych, któremi miałby się kierować przy prowadzeniu naszych zagranicznych interesów. Już to musimy sobie przyznać, że do wyboru ludzi na naczelne stanowiska szczęścia nie mamy, a jeśli się przypadkiem trafi ślepej kurce ziarnko, to jest wpadnie się, nie wiedząc nawet o tem, na właściwego człowieka, rozpoczyna się zaraz kopanie dołków pod nim, aby go zrazić, a następnie usunąć. A już broń Boże, aby on chciał mieć własną wolę i nie dał się za nos wodzić... Takiego dni są już z góry policzone i ani się spostrzeże, jak się znajdzie w magazynie starych rupieci już nie do użytku.

Nowe wybory do Sejmu zapowiedziano nam wprawdzie na lato, ale zastrzeżono, że dotychczasowy Sejm ma się jeszcze przedtem załatwić z różnemi bardzo ważnemi, a nie cierpiącemi zwłoki sprawami, których jest jeszcze ogromnie wiele czekających na dostanie się na porządek dzienny obrad sejmowych, a drugie tyle jest w drodze do Konwentu Seniorów, mającego orzec, czy są nagłe, czy nie. A Konwent uznaje je wszystkie za bardzo ważne, byle tylko przydłużyć życia obecnemu Sejmowi i uchronić posłów od kłopotów nowego kandydowania, utrudnionego bardzo przez podrożenie kiełbasy, alkoholu i innych „przekonujących argumentów", mających wyborcom trafić do serca.

Ogromną radość w kołach poselskich wywołał zamieszczony w poprzednim numerze naszego pisma artykulik o koncertach na odległość przy pomocy telefonu bez drutu. Wielu kandydatów zamierza użyć tego sposobu do wygłaszania swych mów na zgromadzeniach przedwyborczych, co będzie połączone dla nich przedewszystkiem z osobistem bezpieczeństwem dotąd nie zawsze należycie zapewnionem.

Wobec tego ułatwienia, kto wie, czy i kronikarz nie zdecyduje się nareszcie na postawienie swej kandydatury, choć żałuje bardzo, że tego nie uczynił we Wilnie, gdzie bez trudności można było wyróść na męża stanu.

Wybory wileńskie odbyły się spokojnie i cicho, przy stosunkowo licznym udziale wyborców, a wynik ich stwierdził ponad wszelką wątpliwość, że ta część Litwy, czyli obecnie urzędowo Litwa Środkowa posiada stanowczą przewagę polską i że agitacya rozmaitych litwomanów i bolszewików posłuchu tam nie znalazła. Co postanowi Sejm wileński, to dopiero przyszłość okaże, w każdym razie musimy być przygotowani na namiętną walkę stronnictw pod hasłem: autonomia, federacya, czy inkorporacya. Narodowa demokracya, licznie tam reprezentowana, znajdzie szerokie pole do popisu w myśl zasad bardzo może chwalebnych, ale przy użyciu do ich przeprowadzenia środków, na które nie zawsze można się zgodzić.

Wynik wyborów powinien otworzyć oczy Koalicyi i starczyć za sprawozdania, składane jej przez różnych delegatów, którzy tamtejszych stosunków zupełnie nie znają.

wym wymaganiom siły jego odpowiedzieć nie potrafią, to przeświadczenie zatruwało mu ostatnie lata życia i pchało wreszcie broń samobójczą do ręki. Laureat konkursu im. Bogusławskiego, jeszcze lat temu kilkanaście wstecz był jednym z najbardziej cenionych u nas autorów dzieł scenicznych, a jego „Albert wójt krakowski“, „Turniej“, „Kazimierz i Esterka“ obeszły w tryumfalnym pochodzie wszystkie sceny polskie.

W drugim okresie swej działalności autor „Turnieju“ zstąpił w słoneczną krainę komedyi historycznej. I zrazu zdawać się mogło, że posiadł wszystkie tajemnice uśmiechu stylowego. Szczególnie jego „Djana“ z epoki kr. Stanisława Augusta miała niezaprzeczony wdzięk. Uśmiechnęła się jeszcze w „Reducie“ dusza Królestwa Kongresowego, ale w jej humorze i stylowości znać już było pewne zmęczenie wyobraźni i brak dawnego polotu.

Kozłowski, który musiał ciężko pracować na życie, stał się dla teatru dostawcą wszelakiego to waru z marką popularności. Nie miał czasu wypocząć, nie miał czasu się skupić. Teatry zarzucały go obstalunkami, bo był zawsze „autorem kasowym“, więc pisał od ręki staromieszczańskie kroniki w rodzaju „Pod okrętem“ lub wspominki wolnomularskie z końca XVIII-go stulecia („Komandor“). Czasem, przerażony chaosem doby rewolucyjnej w Warszawie, próbował jeszcze satyry głębszej, ale częściej opowiadał bajki o „Złotych kaczkach“ i anegdoty o „Serwisach“ lub śmiał się farsowo w „Polsce z Ameryki“ i „Rotmistrzu von Waldeck“.

Wszystko to już nosiło wyraźne ślady wyczerpania. Pozostała jeszcze rutyna teatralna, pozostał tu i ówdzie koncept szczęśliwy lub przebłysk humoru, ale Kozłowski stawał się coraz mniej wybrednym w doborze tematu, coraz więcej rozmiłowanym w łatwości, coraz słabszym w robocie konstrukcyjnej.



Książę Walii w Indyach: Epizod z pochodu powitalnego w Barodzie.

Po upadku gabinetu Brianda.

Donosząc w poprzednim numerze naszego pisma o opozycyi, jaka się wyłoniła we Francyi przeciw dotychczasowej polityce zagranicznej Brianda, ani przypuszczaliśmy nawet, że, zanim numer ów dostanie się do rąk Czytelników, gabinet Brianda, dzięki niej, będzie należeć już do historyi. Głowa opozycyi, były prezydent republiki z czasów wojny światowej, Rajmund Poincaré, kieruje odtąd gabinetem francuskim, składającym się, jak zapewniają, z ludzi życzliwie względem Polski usposobionych.

Skutkiem dymisyi Brianda przyśpieszonem musiało być zakończenie konferencyi w Cannes, co jednak nie przeszkodziło Radzie Najwyższej do udzielenia Niemcom moratoryum i nie wpłynie bynajmniej na dojście do skutku międzynarodowej konferencyi w Genui, mającej się zająć sprawą odbudowy Europy.

Zwycięstwo nacyonalistów francuskich odbiło się głośnem echem w Londynie, w Berlinie wywołało zaś prawdziwą konsternacyę, z dotychczasowych wystąpień nowego francuskiego premiera aż nazbyt bowiem jest widocznem, że nowy rząd francuski nie cofnie się przed najenergiczniejszymi środkami, by postanowienia traktatu wersalskiego przeprowadzić do ostatniego punktu. Prasa angielska grozi, że w razie zerwania z dotychczasową swą zagraniczną polityką, może się znaleźć zupełnie odosobnioną. Zdaje się jednak, że do tego nie przyjdzie, gdyż konferencya między Poincare'm a wracającym z Cannes Lloyd'em George'm, o ile wierzyć można telegramom pism codziennych, doprowadziły do porozumienia i przyczynią się do utrwalenia traktatu gwarancyjnego anglo-francuskiego, który na żądanie Francyi ma być rozszerzony i na Polskę, na wypadek zaatakowania jej przez Niemcy.

Jubileusz zasłużonego pisarza.

Dzieci i nieletnia młodzież mają swoją własną literaturę tak, jak mają własny, często całkiem od naszego odrębny świat marzeń, myśli i pragnień. Kapryśni to „ludzie“ i nienasyceni — rzadko można im dogodzić, a już najtrudniej w napisaniu specyalnie dla nich dobrej i zajmującej książki. Wprawdzie „dla dzieci i młodzieży“ istnieje książek stosunkowo dużo, ale przypatrzmy się baczniej, ile z tych książek młodzież naprawdę czyta? ile lubi i chce mieć „na własność“?...

Niektórzy sądzą, że wystarczy napisać powiastkę czy powieść językiem łatwym, „popularnym“, naszpikować opowiadanie różnemi „pobożnemi“ uwagami i morałami, podlać to sosem patryotycznym albo naukowo-wychowawczym — i już powieść dla młodzieży gotowa! Skutek takiej fabrykacyi ten, że młodzi od tego rodzaju książek stronią, książka butwieje w magazynach księgarskich, a różni płytcy i domorośli wychowawcy i cenzorowie na widok gnijącej bibuły łamią ręce i wyrzekają na „wstręt do czytania“ u naszej młodzieży.

Tymczasem polska młodzież (dzieci i starsi) na ogół czyta chętnie; książka dla niej napisana, musi być dobra, musi wyjść z ręki **utalentowanego** pisarza. Musi zająć przedewszystkiem młodzieńczą *fantazyę*, musi dać dużo dla *serca*, nie może też nie zaspokoić *rozumu*, ale w sposób bardzo zręczny i ujmujący. Od książek nie posiadających tych znamiennych cech młodzież się odwraca i szuka zaspokojenia głodu fantazyi i uczucia w obrzydliwych *Sherlockach Holmesach* i t. p. śmieciach.

Musi przytem książka dla młodzieży być napisana bardzo zajmująco, językiem barwnym, świeżym, lotnym, powinna być wydana starannie z illustracyami — a wtedy na powodzenie może liczyć! Zalety powyższe ma Sienkiewicza *W pustyni i puszczy*, mają książki Verne'go, ma *Robinson Kruzoe*, *Mały lord*, cały szereg innych bądź to tłómaczonych, bądź też naszych autorów — mają też książki **Wład. Umińskiego**. Młodzież przepada za jego powieściami co najmniej tak, jak za książkami Verne'go. Nic dziwnego: fantastycznych pomysłów w jego opowiadaniach dużo, przygód wiele, a wszystkie logicznie uzasadnione, opisy barwne i piękne, pokarm dla uczucia zdrowy, a w to wszystko wpleciono moc wiadomości bardzo ciekawych głównie z dziedziny przyrody, astronomii i fizyki. — (Wiedzieć bowiem trzeba, że Wład. Umiński po skończeniu gimnazyum w Warszawie, studyował w uniwersytecie petersburgskim głównie nauki przyrodnicze).

Na jedno jeszcze potrzeba baczną zwrócić u tego pisarza uwagę. Oto w powieściach swych zawsze apoteozuje i wystawia energię, siłę i hart woli, uczciwość i rzetelność w postępowaniu, a przedewszystkiem obowiązkowość i wytrwałość w pracy— zalety, których tak bardzo potrzeba naszemu ogółowi. Do swych powieści wprowadza często bohaterów Polaków, a choćby nawet rzecz się działa wśród samych cudzoziemców, zawsze się wśród nich znajdzie bodaj jeden Polak dzielny przytem i rozumny.

Powieści takie, jak „Podróż bez pieniędzy“, „Naokoło świata“, „Znojny chleb“, „Na drugą planetę“, „W pustyniach Australii“, „Tajemnicza bandera“, „Balonem do bieguna“, „Na falach Atlantyku“ i t. d. — świadczą o tem najlepiej. To też książki Umińskiego czyta z entuzyazmem młodzież, z zainteresowaniem starsi i to nietylko u nas, ale i za granicą. — Umińskiego bowiem tłómaczono na obce języki.



Jubileusz zasłużonego pisarza: Władysław Umiński, autor szeregu cenionych utworów dla dorastającej młodzieży

Nic dziwnego, że z okazji jubileuszu tego bardzo zasłużonego i sympatycznego pisarza płyną ku niemu szczere słowa uznania, podzięki i życzeń, by, długie jeszcze lata zasilał polską powieść utworami swego rzetelnego talentu.

W końcu nadmienić jeszcze należy, że Umiński napisał kilka powieści o znaczeniu społecznem, osobne prace dla ludu, słowem pisarz to znamienity, bynajmniej nie jednostronny.

b—i.

Książę Walii w Indyach.

Następca tronu angielskiego, książę Walii, odbywa obecnie podróż po krajach wielkobrytyjskiego imperyum, rozrzuconych po całym świecie. W pierwszej części swej podróży na krążowniku *Renown*, z której powrócił do Anglii z końcem października, zwiedził Kanadę, po drodze wstąpił do Stanów Zjed-



Książę Walii w Indyach. Kapłan hinduski w oczekiwaniu na przybycie księcia, by mu udzielić błogosławieństwa.

noczonych, następnie zaś Australię i Nową Zelandyę. Po krótkim wypoczynku rozpoczął dalszy ciąg swej objażdżki i przez Gibraltar, Maltę i Aden udał się do Indyi. W połowie listopada wylądował w Bombaju, gdzie oczekiwał nań wicekról Indyi, lord Reading, w którego towarzystwie zwiedził poszczególne prowincye, Boże Narodzenie spędził zaś w Kalkucie. Po zwiedzeniu Indyi udaje się książę do Japonii, aby rewizytować japońskiego następcę tronu, księcia Hirohito.

Podróż księcia Walii do Indyi i pobyt tamże skierowały na się uwagę całego świata, owa bo-



Groźba nowego przesilenia gabinetu: Ignacy Szebeko, drugi delegat rządu polskiego przy Lidze Narodów w Genewie.

wiem „perła w koronie brytyjskiej", jest obecnie widownią budzącego się coraz bardziej ruchu, mającego na celu oderwanie Indyi od Anglii i ogłoszenie zupełnej ich samodzielności. Na tem tle wybuchają w różnych okolicach bardzo poważne zamieszki między ludnością krajową a rządem angielskim, usiłującym je stłumić za wszelką cenę i nie cofającym się przed użyciem najdalej idących represyi.

Ludność indyjska, tak buddyści, bramaniści, jak i muzułmanie, są wrogo usposobieni wobec swych ciemiężycieli, a dowodem tego podróż księcia Walii, którego podejmowano wprawdzie z rozwinięciem całego wschodniego przepychu, ale tylko oficyalnie, gdy natomiast najszersze masy zachowały się wobec niego zupełnie obojętnie, miejscami nawet prawie wrogo. Podróży księcia po wnętrzu kraju towarzyszyło zastosowanie takich środków ostrożności, iż mimowoli przypominały się dawniejsze czasy i wycieczki cara rosyjskiego między wiernych „poddanych".

Wobec wieści, sygnalizowanych o nastrojach panujących w Indyach, oraz o postanowieniu proklamowania już w ciągu najbliższych miesięcy niezależności tego olbrzymiego kraju, stanowiącego dotychczas domenę angielską, z której królestwo brytyjskie wyciąga niewyczerpane dochody — nie od rzeczy będzie przypomnieć kilka dat szczegółowych.

Olbrzymia ta kolonia angielska, zajmująca przestrzeń większą niż połowa Europy, bo około 5 milionów kilometrów, na której żyje 300 milionów mieszkańców, po długich i uporczywych walkach otrzymała nareszcie dość znaczny samorząd, a w niektórych sprawach zupełną niezależność tak, że nawet wicekról musi swe projekty, odnoszące się do spraw krajowych, poddawać pod decyzyę obu izb parlamentu, wybieranego przez ludność. Ta gruntowna zmiana wewnętrznych stosunków politycznych stanowić też będzie nową epokę o zupełnie niezależnej i nie dającej się przewidzieć przyszłości dla Indyi. Wedle najświeższego spisu ludności, znajduje się w Indyach katolików tylko 2,004.000, zaś animistów jest 11 000 000, buddystów 12,000.000, muzułmanów 71 000 000 i wreszcie bramanistów — 232,000 000. W razie więc wyborów, dokonanych za pomocą powszechnego głosowania, katolicy zniknęliby zupełnie. Jedyną nadzieją dla nich jest tylko to, że stanowią oni stosunkowo najbardziej wykształconą warstwę ludności i gdy między muzułmanami jest 96 procent analfabetów, u chrześcijan jest ich tylko 78 procent. Swoją drogą cyfry te świadczą, jak straszliwie prowincya ta pod względem cywilizacyjnym jest jeszcze zaniedbaną.

Na oderwanie się Indyi Anglia nigdy się nie zgodzi, z chwilą bowiem pozbycia się tego kraju potęga jej upadłaby raz na zawsze, a przykład Hindusów podziałałby na inne, ciemiężone przez nią narody. Uznane przez Anglię prawo samostanowienia ludów o swym losie nie może mieć zastosowania odnośnie do kolonii angielskich, w szczególności zaś do Indyi. Podróż księcia Walii ma też głębokie znaczenie polityczne, mając być pewnego rodzaju termometrem do stwierdzenia panującej tam temperatury, wejście w bezpośredni kontakt przyszłego króla Anglii i cesarza Indyi z tamtejszymi notablami ma na celu pozyskanie i utrwalenie ich sympatyi dla korony.



Z naszego życia gospodarczego: Część praktyczna egzaminu dla leśników o akademickiem wykształceniu w lasach miejskich w Brzuchowicach pod Lwowem.

Groźba nowego przesilenia gabinetowego.

W ubiegłym tygodniu groziło naszemu gabinetowi przesilenie, którego następstwem miała być dymisya ministra spr. zagr. Skirmunta, ewentualnie może nawet i ustąpienie całego gabinetu. Powodem było wysunięcie kandydatury b. posła polskiego w Berlinie, Ignacego Szebeki, przez ministra Skirmunta na stanowisko drugiego delegata rządu polskiego przy Lidze Narodów w Genewie. Kandydatura ta, popierana wszelkiemi siłami przez narodową demokracyę, skierowaną była przeciw osobie pierwszego delegata, prof. Szymona Askenazego, przeciw któremu równocześnie rozpoczęła gwałtowne ataki prasa endecka.

Sytuacya stała się poważną, gdy Naczelnik Państwa odmówił podpisania żądanej przez Skirmunta nominacyi, a ten zagroził swą dymisyą. W łonie samego gabinetu wywołało to konsternacyę, ogół natomiast wiadomość o dymisyi Skirmunta przyjął z pewną ulgą, zbyt bowiem wiele i bardzo poważnych ciąży na nim zarzutów, a jego polityka zagraniczna, prowadzona przy pomocy „mężów stanu" ze szkoły petersburskiej, wyrządza nam raczej szkody, niżby miała przynieść korzyści.

Konflikt ostatecznie załagodzono w ten sposób, że pan Ignacy Szebeko wyjechał w upragnionym przez endecyę charakterze na czas bieżącej sesyi Ligi Narodów, ponieważ przypomniano sobie, że jest funkcyonaryuszem tymczasowym, a nie stałym, wobec czego i Belweder nie odmówił zatwierdzenia nominacyi, ratując w ten sposób los gabinetu, czy jednak na długo, nie wiadomo, gdyż najbliższe już posiedzenie sejmowej Komisyi dla spraw zagranicznych wykazało, że minister Skirmunt nie posiada żadnego ściśle oznaczonego programu w tak ważnej dla nas sprawie, jaką jest sprawa Wileńszczyzny. Wobec tego sprawa dymisyi min. Skirmunta staje się znowu aktualną, a endecya na jego miejsce wysuwa niestrudzenie swego pupila, Stanisława Grabskiego, porównując go... z Poincarém.

Z naszego życia gospodarczego.

Jednym z przyrodniczych skarbów, stanowiących bogactwo naszego kraju, są lasy rozrzucone w znacznej obfitości po całym jego obszarze, a nie wszędzie prowadzone tak, jak nakazuje racyonalna gospodarka leśna. W byłym zaborze austryackim istniała we Lwowie Szkoła lasowa z uniwersyteckim programem nauk, poza nią szukali nasi leśnicy wykształcenia teoretycznego za granicą.

Po uzyskaniu samodzielności politycznej zwrócono u nas baczną uwagę na tę gałąź gospodarki krajowej i dołożono starań, aby krajowi przysporzyć leśników o akademickiem wykształceniu. W tym celu z inicyatywy Ministerstwa Rolnictwa i Dóbr Państwowych odbył się w listopadzie ubiegłego roku w lwowskiem Województwie pierwszy państwowy egzamin dla leśników o wykształceniu akademickiem.



Z naszego życia gospodarczego: Komisya egzaminacyjna dla leśników o akademickiem wykształceniu we Lwowie i kandydaci, którzy poddali się egzaminowi.

Komisyi egzaminacyjnej przewodniczył Krajowy inspektor lasów, st. radca leśnictwa inż. Aleksander Berwid, resztę komisyi tworzyli: inż. leśnictwa Jan Kosina, inspektor lasów fundacyi skarbkowskiej, inż. Tadeusz Borzęcki i radca leśnictwa inż. Antoni Ilgner. Egzamin złożyli: inżynierowie: M. Bosakowski A. Breyvogel, Ed. Broś Załęski, H. Kemmer, W. Lang, W. Medoń, Sz. Wąchalewski.

Podnieść należy zasługi obywatelskie, stanowisko szefów Ministerstwa, którzy zarządzeniem tem stanęli na stanowisku utrzymania poziomu marki polskiego leśnictwa na wysokości przedwojennej, czego w niejednej dziedzinie naszego powojennego życia społeczno naukowego dotychczas jeszcze nie udało się przeprowadzić.

Jeśli się zważy, jak wiele posiadamy zwłaszcza, w byłej Kongresówce, lasów, w których gospodarka dotychczasowa, „pamiętająca jeszcze czasy króla Ćwieczka" niszczyła je tylko, ograniczając się do wyciągnięcia z nich jak największych korzyści, a nie myśląc bynajmniej o przyszłości, podnieść należy z uznaniem troskliwość Ministerstwa i życzyć sobie, aby leśnictwo nasze, mające przed sobą wielkie zadanie do spełnienia, rozwijało się jak najpomyślniej i rozporządzało jak największą liczbą ukwalifikowanych pracowników, wykształconych w kraju tak teoretycznie, jak i praktycznie.

Polski Związek muzyczno-pedagogiczny w Krakowie.

W nielicznym szeregu kulturalnych zrzeszeń Krakowa, „Polski Związek muzyczno pedagogiczny“ rozwinął w ostatnim czasie energiczną działalność, urządzając szereg produkcyi artystycznych, mających na celu nie tylko pedagogiczne zadania, lecz także szerzenie kultury muzycznej zarówno wśród publiczności, jako też wśród młodzieży, zawsze impulsywnie odczuwającej objawy sztuki. — W kadrach Związku stanęli pod standarem sztuki ojczystej, nie tylko najwybitniejsi pedagodzy krakowskich uczelni muzycznych, lecz także szerokie grono prywatnego nauczycielstwa muzyki tak, iż „Związek“ zastępuje interesa pedagogów-muzyków Krakowa, obok zadań artystycznych, także i w kierunku ekonomicznym. Dwuletni niemal żywot stowarzyszenia stwierdził potrzebę tej instytucyi, mającej na celu także informowanie publiczności (ul. Kanonicza I. 15. part. codziennie od 11-12.), w sprawach dotyczących pedagogii muzycznej i muzyki w ogóle.

Obecnemu Wydziałowi — (którego skład podajemy) — przewodniczy wybitny muzykolog, autor poważnych prac muzyczno literackich i krytyk, prof. dr. Józef Reiss, z zastępcą swym prof. Fr. Koniorem, cenionym pedagogiem i kompozytorem. Trudy sekretarstwa ponosi prof. Stanisław Bursa, śpiewak, cieszący się sławą pieśniarza w kraju, zaś w mieście doskonałego pedagoga wokalisty, skarbnictwo „Związku“ spoczęło w ręku utalentowanej pianistki prof. Ludwiki Grodzickiej, ogólnie znanej i cenionej działaczki nie tylko na niwie muzycznej. W skład Wydziału wchodzą nadto doskonali pedagodzy: prof. inst. St. Giebułtowski, p. I. Grabowska, Br. M. Ciosmanowa, Fr. Machowa, E. Rosenbergowa i O. Wasyliszynówna. Pp. R. Ferek, L. Kopyciński i Z. Scheller pracują w komisyi szkontrującej.



Polski Związek muzyczno-pedagogiczny w Krakowie: Wydział Związku: Stoją od lewej: prof. Giebułtowski, p. Wasyliszynówna, Br. Ciosmannowa, prof. dr. I. Reiss, kap. Z. Scheller, I. Grabowska — siedzą: prof. Fr. Konior, prof. St. Bursa, prof. L. Grodzicka, p. Fr. Machowa i R. Ferek.

Z estrady koncertowej.

Panią Mrozowską — a raczej krótko: Mrozowską zna i pamięta Kraków dobrze. Była to artystka Teatru im. Słowackiego jedna z najzdolniejszych, najbardziej oryginalnych i bezgranicznie sztuce oddanych. Zato powiadamy szerzej: sztukę dramatyczną ukochała całą duszą, starając się w każdym swym występie, w każdej bodaj najdrobniejszej roli osiągnąć najwyższy stopień doskonałości, który nazywamy: skończonym artyzmem.

Nic dziwnego, że jej przyjazd do Krakowa (pani Mrozowska mieszka obecnie stale we Włoszech) i dwukrotny występ obudził powszechne zajęcie i za każdym razem ściągnął do sal tłumy — dosłownie: tłumy publiczności. — Tym jednak razem nie przypomniała się p. Mrozowska, jako niepospolita artystka *dramatyczna*, tylko, jako śpiewaczka, jako artystka *operowa*. Bo na tą nazwę za swój śpiew już bezwzględnie zasługuje. Odśpiewana przez nią arya z *Madame Butterfley* i Santuzzy z *Cavaleria rusticana*, zaś śpiewane pieśni indyjskie, francuskie, wreszcie nasze polskie — dowiodły, że p. Mrozowska ma głos o brzmieniu przeczystem, sile i średnicy dużej, giętki i opanowany po mistrzowsku.

Ale nie o tem chcę mówić; wszak dobry głos — to warunek istnienia dla śpiewaczki operowej. Chcę zwrócić uwagę na drugą stronę artyzmu u p. Mrozowskiej, mianowicie, na jej nieskazitelnie czystą *dykcyę* i ekspresyę tak wymawianych (śpiewanych) słów, jakoteż i grę (mimikę) twarzy, jak wreszcie całej postaci. Od Mrozowskiej niech się uczą śpiewacy i śpiewaczki operowe, że można: 1) śpiewać tak wyraźnie, że każdy rozumie tekst doskonale, 2) że można śpiewać i równocześnie *grać*, a nie kręcić się lub „łazić“ po scenie sztywnie i manekinowato, z oczyma bezdennie rozpaczliwie utkwionemi w dyrygenta.

Na występ p. Mrozowskiej, winna była Dyrekcya n. p. Krakowskiej Opery nakazać urzędowo pójść pewnej części śpiewaków i śpiewaczek... Mrozowska bowiem jest doskonałym już wzorem, który naśladować trzeba, choć nie łatwo... *b — t.*



Z estrady koncertowej Jadwiga Mrozowska, art. dram. i operowa.

Z Teatru.

Miejski Teatr: Opera.

(*Carmen*, opera w 4 aktach. Muzyka Jerzego Bizet'a, libretto Meilhac'a i Halevy'ego).

Przyznam się otwarcie, że gdy w miesiącu wrześniu otwierano „Operę“ w Krakowie, nie bardzo w nią wierzyłem. Raz dlatego, że przedsiębiorstwo to, jak na — takie kochane co prawda, ale zawsze miasteczko — Kraków wydawało mi się za śmiałe i za ryzykowne, powtóre nie wierzyłem w doborową orkiestrę i chóry, po trzecie raził mnie budynek... i t. d. — skrupułów i niedowierzań w duchu miałem dużo. — Tymczasem „Opera“ jest, rozwija się i, wystawiając *Carmen*, daje coś ósme czy dziewiąte przedstawienie opery z rzędu. Prawda, że do budynku przy Rajskiej ulicy trudno zapłonąć miłością i uwielbieniem, prawda, że scena jest jak pod operę wprost skandalicznie mała i ciasna, nie mniej jednak prawdą jest i to, że mało muzykalny i pod tym względem słabo wyrobiony Kraków ma sposobność zapoznać się z szeregiem wielkich oper, może rozwijać swój umysł muzyczny, może, rozpoczynając od samego początku, od abecadła, dojść do pokochania i zapotrzebowania śpiewu i muzyki takiego, że zażąda kiedyś osobnego gmachu na Operę w wielkim już stylu...

Na razie lepiej poznać Rzym i Neapol bodaj z fotoplastikonu, niż nieznać ich wcale... Taką zasadę wyznaję obecnie, zwłaszcza, że chodząc na wszystkie operowe premiery, widzę stanowczo posuwanie się w górę—ku lepszemu!—Przedewszystkiem reżyserya przedstawień grubo staranniejsza. P. Kniaginin na scenie się zna, umie ustawiać na niej ludzi i rozumie, że w operze dobra gra członka jest taką samą koniecznością jak w dramacie. Wyreżyserowane przez niego *Pajace*, *Cavaleria*, a obecnie *Carmen* znamionują człowieka o dobrym smaku i znajomości „ruchu“ na scenie... Przypuszczamy, że na wielkiej scenie zdziałałby p. Kniaginin daleko więcej. O jedno tylko musi walczyć i dyrekcyę co pewien czas molestować — a to o nowe dekoracye... Te, co są, są czasami i miejscami zwłaszcza przy pełnem świetle straszne!

Orkiestra pod dyrekcyą p. Walewskiego czy batutą p. Barańskiego zestraja się coraz lepiej, wykonanie niektórych ustępów jest już czasami bez zarzutu... I chóry również mają coraz częściej pogodne chwile i jasne momenty — kiedyś i one powiększone o „powymienianych“ jednostkach staną na odpowiedniej wyżynie. — Soliści odpowiadają — rzecz jasna — sami za siebie. Były i są między nimi siły pierwszorzędne, były i są — słabsze, nawet całkiem słabe... O nich i — o solistach napisze się kiedyś osobno; dziś, wspominając ostatnią operę „Carmen“ zaznaczyć wypada, że Micaela odśpiewana przez p. Jaworzyńską zyskała ogólne uznanie; p. Mazanek czystym i męskim głosem śpiewał Zunigę, dobre chwile miał p. Stępniowski (Don José). Partyi Escamilla — rzecz jasna — p. Kniaginin nie popsuł, Carmen odśpiewała p. Trąmpczyńska. *b — t.*



Z Teatru: Miejski Teatr. Opera: Ludwika Jaworzyńska, jako Micaela w „Carmen“.

Od Redakcyi.

Zwracamy uwagę PT. Czytelników, że jedynie ci są uprawnieni do ubiegania się o nagrody, którzy nadeślą rozwiązania wszystkich zagadek.

Zagadki do nagrody.

Okienko.

Ułożyła M. Kubicówna, Kraków.

Z podanych liter ułożyć trzy wyrazy równobrzmiące w kierunku poziomym i pionowym:

a a g i i
n p r
r s s t t
u u u
u u y y y

Znaczenie wyrazów: 1. Postać z mitycznych dziejów Polski, 2. Starożytny kapłan rzymski, 3. Miasto we Włoszech.

Grzebieniówka.

Ułożył Staś z nad Wisły.

Kwadraty i kreski zastąpić odpowiedniemi literami, aby w pionowych szeregach powstały wyrazy o podanem znaczeniu. Rząd poziomy poda imiona pewnej awanturniczej pary małżeńskiej.

■ ■ ■ ■ ■ ■ ■ ■ ■
— — — — —
— — — — —
— — — — —

Znaczenie wyrazów: 1. Półwysep w Europie północnej, 2. Oddział wojska, 3. Rzeka na Syberyi, 4. Hrabstwo w Anglii, 5. Część składowa każdego pacierza.

Zadanie do uzupełnienia.

Ułożył Dyplomata z Wieliczki.

Uzupełnić podane wyrazy. Litery wstawione w miejsce kresek czytane z góry na dół, podadzą nazwę miejscowości, na którą w obecnym czasie zwrócone były oczy całego świata.

— aza
— zot
— ago
— ola
— ard
— ora
— óra
— era
— mar
— uma

Logogryf.

Ułożył S. Balicki, Lwów.

Kwadraty i kreski zastąpić literami. Rząd środkowy, czytany z góry na dół, poda nazwisko zmarłego niedawno wybitnego naszego publicysty.

■
— ■ —
■
— ■ —
— ■ —
— — ■ — —
— — ■ — —
— — ■ — —
— — ■ — —
— — — ■ — — —

Znaczenie wyrazów: 1. Spółgłoska, 2. Rzeka w Afryce, 3. Samogłoska. 4 Zdrojowisko w Niemczech, 5. Ptak śpiewający, 6. Rodzaj poezyi, 7. Wyspa na morzu Śródziemnem, 8. Przyrząd sportowy, 9. Polski pamiętnikarz, 10. Ozdoba kobiety, 11 Znana słabość.

Za dobre rozwiązanie wszystkich powyższych zagadek przeznacza Redakcya do rozlosowania trzy nagrody: 1) A. Mickiewicza: „PAN TADEUSZ" (wydanie illustrowane); 2) J. Żuławskiego: „NA SREBRNYM GLOBIE"; 3) Kalendarz biurkowy na rok 1922.

Rozwiązanie zagadek z Nru 48.

Logogryf: J, Ren, baron, Iza, y, Ems, glina, wieczór, Achab, car, l, osa, Tokaj, maligna.

Zgłoskówka. Rokowania z Czechami.

Grzebieniówka: Ogar, s, zeta, e, zima, ę, dyby, n, opal, ś, ówik.

Trójkąt magiczny. Jesień, Emaus, Sara, Inn, Eu, ń.

Dobre rozwiązania nadesłali pp.: J. Morusowa Jasło, J. Wierzbicki Piotrków, M. Michalczyk Poznań, S. Kowalski Warszawa, W. Rozwadowski Kraków, H. Walewska Jasło. C. Górny Limanowa, M. Więckowski Warszawa, H. Galińska Tarnów, J. Martynowicz Lwów, Z. Sokolnicka Warszawa, W. Zubicka Warszawa, M. Jasińska Lwów, M. Planecka Kraków. H. Malinowski Warszawa, J. Walczewska Lwów, M. Kubicówna Kraków. S. Zakrzewski Sandomierz, H. Boratyńska Poznań, W. Nowotarska Kraków, S. Grabowski Wadowice, S. Sokołowski Lwów, J. Sadowski Kraków, T. Cisowski Zakopane, K. Dębicki Sambor, S. Marzec Krasne, M. Drohocki Warszawa, M. Woźniakowski Warszawa, W. Lange Toruń, J. Kalinowski Poznań, S Sygowska Rzeszów, M. Walter Kraków, B. Szypulska Wieliczka, A. Wróbel Tarnopol, K. Wilczyński Stanisławów, K. Mańkowska Warszawa, Z. Trembecki Kalisz, W. Komperdowa Lwów, H. Rakowiecka Warszawa, R. Mąka Kraków, W. Śmiszkiewicz Milówka, S. Zagórski Warszawa, H. Blonder Kraków.

Nagrody przez losowanie otrzymali: 1) S. Zagórski, Warszawa (powieść); 2) M. Walter, Kraków (kalendarz). — Upraszamy o nadesłanie należytości na koszta poleconej przesyłki nagrody w kwocie 15 marek.

Właściciele i wydawcy: Spadkobiercy St. Lipińskiego. Odpow. redaktor: Julian Bartoszewicz. Klisze własnego zakładu. Drukarnia D. E. Friedleina pod zarz. St. Kowalskiego